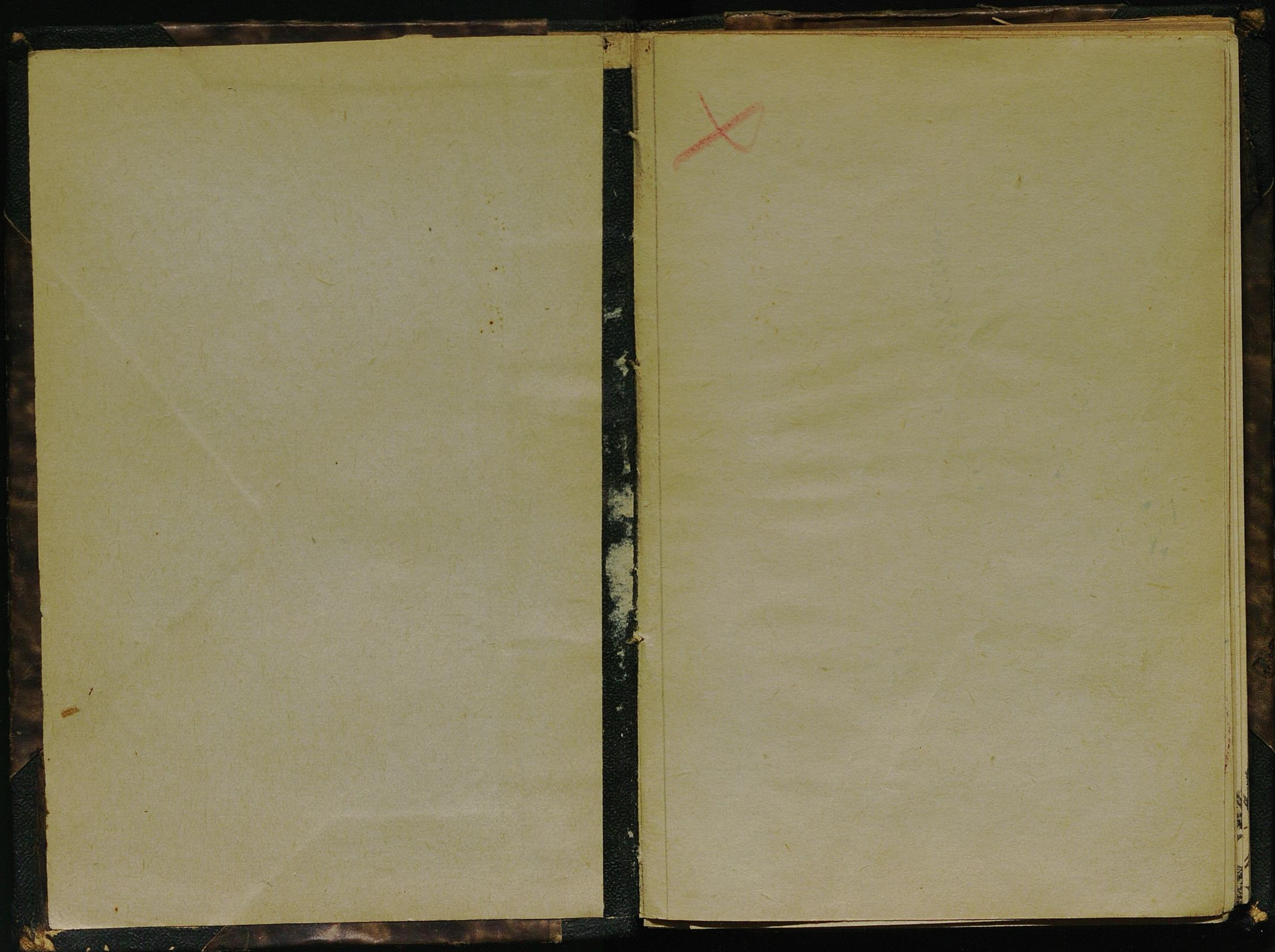


4132





A 372

4132

IGNACY CHODŹKO.

L

B. U. N^o 380/a.

Obrazy litewskie.

Tom I.



DOMEK MOJEGO DZIADKA.
BORUNY.
ŚMIERĆ MOJEGO DZIADKA.



LWÓW — ZŁOCZÓW.
Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

1891 ?



Ignacy Chodźko urodził się na Litwie r. 1795, odbył szkoły średnie u XX. Bazylianów w Borunach a do r. 1814 kształcił się dalej na uniwersytecie wileńskim. Wkrótce dotknęło go wielkie nieszczęście; umarli i ojciec i matka, a Ignacy objął gospodarstwo w modrzewiowym dworku. Z ust sędziwego Michała Ławrynowicza, niegdyś bywalca na pokojach Radziwiłłowskich, zasłyszał wiele opowiadań o zdarzeniach i obyczajach przeszłości. Ten zapas tradycyi miejscowych, jakoteż znajomość mieszkańców i stosunków krajowych pomnażał niemal dzień każdy, a przede wszystkim wycieczki, jakie Chodźko od r. 1828 do 1840 piastując urząd podkomorzego, po Litwie odbywał. Tym sposobem powstały niezrównane „*Obrazy litewskie*” i „*Podania litewskie*.” Zaczny żywot zakończył Ignacy Chodźko w majątku swym Dziewieniąch 1861 r.



Domek mojego dziadka.

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Księżo! kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia wcho-
dząc po długiem oddaleniu do domku, w któ-
rym dni swe dziecinne i młode przepędzał?
czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrze-
wnienia na wspomnienie osób, których w tych
samyh już nie ogląda izbach, a które go tu
niegdyś z pieśczętą tuliły do serca! Komuż
nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego
krzaku w jesieni życia zerwana, z którego
gdy był dzieckiem, piastunka lub go stary
dziadulek karmił. Któż w starych sługach
domowych nie będzie szukał z upragnieniem,
choćby jednego świadka chwil dawno ubie-
głych, a obecnych sercu i pamięci obydwóch?
Jakże mu drogim i szanownym będzie ten

pomnik błogiej przeszłości! z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinne kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mojego dziada:

„wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.”

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwrócenie pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek, który tu był zamieszkał, ogałacając ze wszystkiego tę ubogą chatę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu, i te jedyne przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkadziesiąt mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy *szlachciec na zagrodzie*. Patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje tem interesowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów zbytków i wspaniałości bogatych naddziadów naszych, przedstawię

ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niepokojnych rozruchów; pomiędzy obrazami wad klasy wyższej i średniej chcącej zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziej i nałogi, niżeli dobre wybierającej przymioty, — nie mamy prawie pierworysów (*type*) wygasłego już pokolenia owej niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przechowywały się wśród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerłość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumienia. Przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijnem, że tak powiem, ogniwem gminne urojenia i powieści z domowymi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezją.

Kilka chat włościańskich i mały obrzar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada; z tem szczupłym mieniem był on szczęśliwy i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Pszczołka, klaczka i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica —

powtarzał często pan Widmont i szedł w gospodarstwie za tem staroświeckim przysłowiem. To też dwa ogródki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pię-

knych hasało żrebiąt, i corocznie wielka część pola jego złotym pszenicy okrywała się kłosem: a obfitość i dostatek gospodarski napelniał mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniędzy. O! dobrze pamiętam ów kufer szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderobki alkowy stojący. Z niego to dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za refleksyą przeciw zbytnej hojności, przy każdym otwarciu kuferka powtarzał:

Pamiętaj, przychodzie,
Żyj z rozechodem w zgodzie.

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, chędogi natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowie zwane: alkówkę z garderobką i bokówkę z *alkierzykiem*. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zedłem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwალniejszych spraw domowych. Tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na różaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne przy kawie rano snów tłómaczenie, i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach

gwary, którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów, lub odkrywania zaklętych skarbów, niechcący z własnem wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tem: *dziatki! dziatki! bez woli Boga nie się nie stanie!* Tu furczały wiecznie dwa kołowrotki, głuszac zwadkę dwóch świegotliwych przadek, zasłużonych pokojówek jejmości; tu nakoniec w niedziele i święta uroczyste, panna *Helena*, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zydelku ze spuszczonei skromnie oczkami, cieniutko śpiewała światowe pieśni: „*Cheiało się Zosi jagódek*“ lub pod dobry humor jejmości: „*Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami.*“ Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje; w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy buntem błyszczących ozdobiony bisiorów, i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek za-

krawał! Tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia okrywały ściany, tu stolików parę niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza i świątecznego ćwika. Z jakimże interesem grano, gdy płatka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? okrzyk powszechny brać! brać! dodaje serca.— Ale płatka! odzywa się ksiądz pleban, chcący w duchu, aby gracz stchórzył, a tuz z kolei do niego przyszedł. Mój dziadulek wróży w palce: raz, dwa, trzy; biore, rzekł nakoniec z energią godną podziwiania, biore! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy, ciche „*remis*“ szepcze się już około stolika. — *Lepszy Pan Bóg jak pan Rym-sza!* zawoła nagle dziadunio, kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało: nikt! nikt! ksiądz proboszcz powróżył także w palce, spojrzał ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok tuza król w sekundach. A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt, po raz ostatni zawołał dziadunio, nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Ileżto przyjaciół w szczęściu! każdy winszuje, każdy się prze-

chwala, że koniecznie tuza brać życzył, wszyscy przyznają, że pan skarbnik wybornie gra w ćwika! A jam skakał z radości.

O ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinne serce, jak żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całem dziecinnem jestestwem! Student z Borun, z jakimże uniesieniem postrzegłem zdaleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem. Wielkanoc, święto najweselsze! Święto wiosny! Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutej Pańskiej wieczerzy, ostatni suhar i ostatni śledź w wieczór ostatniej soboty spożyty; i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, mile zalatywały wonie, gdy huczne salwy artyleryi księdza proboszcza dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołem *Alleluja!* dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny wiosenny! Gromadnie i huczno wycho-

dzono z kościoła. *Chrystos woskres! Chrystos woskres!* odzywa się naokoło; pozdrowienia te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, rozweselenie i radość jaśniały na wszystkich twarzach.

My także wracaliśmy do domu przechodząc przez ulice z łubek; około każdej z nich, familia poczciwych chłopków w kupkę zebrana czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla pobożnego obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! w pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką długi stół okryty najsmakowitszem święconem. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnem wielkanocnem włóczebnem; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niej, dla zniepewnienia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgęskach, ozorach, zajacach, cietrzewiach, zdol-

nych najgruntowniej stepiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne *baby*; ach! bez nich, cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka, gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lipka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory i wewnątrz i zewnątrz smaczne były. Garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano z cicha. Kotka tylko faworytka domowa, siedząc na kredensie figlarnie myła się łapką, i Filonek tańczył około stołu.

Przybywa наконец i ksiądz proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyę, przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezui-

ckiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność, i respekt dla jego pasterkiej godności, *acuminose* połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowie, córki i zięciowie ze łzami w oczach mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy; nakoniec przychodziła kolej na wnuka. — Aj! serce mi się wyrывało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzało, jam na środku, pan dyrektor trochę bliżej od nich, dla dodania serca, i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodła. Zaczynam... o cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje, zaczynam po francusku, i bez zająknięcia się palę aż do końca. Już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową w szkołach ułożoną oracyą przybywałem na święta. Nie wiele jej wprawdzie rozumiał ksiądz profesor, co ją układał, nie rozumiał pan dyrektor, co mi ją repeterował, nie rozumiałem ja, który ją perorowałem, i nie rozumiał mój dziadulek, który jej słuchał, ale cieszyli się wszyscy; dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mnie pieszczotą i buziakami obsypał.

Traktował potem gospodarz wszystkich

z kolei pokrajanem jajem, i nie opuścił najmniejszego dziecka: a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytwornem, lecz równie obfitem święconem. — Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru pan Huszczanowski organista, dał on bez miłosierdzia na klarynecie i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował pannie Helenie: „*Wesoły nam dziś dzień nastał*“ i t. d. O Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nieszczęśliwym? gdzie to liczne plemię rezydentów, poczciwych próżniaków, którzy jak błędni rycerze wlokąc się z miejsca na miejsce trawili życie po cudzych, jakby we własnych domach i dowodzili jeżeli nie swojej ochoty do pracy, to gościnności i dobroci dziadów naszych! Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

„Czemuż z miłych rzeczy zgubą
„Człowiek pamięci nie traci*).

*) Kropiński, — w piosnce: »Te brzoż kilka.«

Gdy teraz z wieczór, równie jak dawniej spokojny i miły, tegoż samego Wielkanocy święta, ja sierota po wszystkich moich usiedę na kamieniu, niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy chrząszcz tylko z burczeniem przeciągając kiedy niekiedy przerwie, nagle pieśń: „*Wesoły nam dziś dzień nastał*,“ rozlega się w oddaleniu; wieśniacy obchodząc w nocy po siołach winszują sobie tą pieśnią doczekanego święta*). Ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mem sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi, i jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drżeniem!

Mój dziadunio miał także swoje wspomnienia i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne domowe tylko miało dlań pamiątki. Rok taki to był urodzajny w tamtym zima wymroziła mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie a po nich wojna okropna; po wojnie głód, w czasie którego swoimi zapasami wyżywił on swoich włościan i sąsiadów nie skąpo wspierał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki i gorliwie trzymał stronę pana marszałka, swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec, liczył jak z rejestru dzieje festów, kaznodziei i ple-

*) Zwyczaj ten trwa zawsze.

banów swojego parafialnego kościoła, o kroków kilkaset z klasztorkiem drewnianym, niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

— Szczególna to łaska Boga nad nami, moje dziecię, powiadał mi poczciwy dziad mój, że tak blisko mamy dom Boży! Co za wygoda, codzień bez pojazdów i zaprzęgów odbyć pobożną przechadzkę na mszę świętą. — Inszy tu wprowadzie dawniej był porządek; inaczej wszystko i lepiej. Co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! jakie festyny za ojców Jezuitów! tu jak tu! ale naprzykład w Zodziškach, moje dziecię, gdzieś ja do szkół chodził! daleko o tem i gadać!... Tu nagle mój dziadunio zamilkł, łza mu spadała po twarzy, obrócił się do krzyża i wzniosłszy ręce do góry, westchnął głęboko i rzekł: „*Requiem aeternam dona ei Domine!*“ Cóż to, dziadunio? pytałem, po kim to płacze, po kim się modli dziadunio? — Ach! moje dziecię, nie mogę spojrzeć na tę ubogą dziś plebanie, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypomniał, nie westchnął do Boga za duszę mego najmilszego przyjaciela. W tej oto tam na prawo celce, już teraz pustej, mieszkał on niegdyś, święty prawdziwie człowiek, ksiądz Obłoczyski, kapłan *Societatis Jesu!* Był on moim profesorem retoryki

w Żodziszkach. Otóż moje dziecko, skończywszy szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie: aż w lat cztery czy pięć, przybywa na rektora do tutejszego zgromadzenia tenże sam mój preceptor i dobrodziej, ksiądz Obłoczymski. Co to za radość dla mnie była, moje dziecko, gdy mnie on raz pierwszy odwiedził i pobłogosławił moją chatkę! może dlatego i odtąd Bóg w niej mieszka i nam sporzyć raczy. Codziennie potem widywaliśmy się z sobą! Święty! prawdziwie święty człowiek! największy eksorcysta na całej Litwie. Sam nieraz bywałem świadkiem, jak czartów z nawiedzanych wypędzał. — Ach! dziadunio! krzychałem wtenczas całując go w ręce, jak to było? jak to było? — Ot tak moje dziecko, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniej z dopuszczenia Bożego napadał na jaką babę, a czasami i na mężczyznę i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętani, ale już to nie baba, lub mężczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał, krzychał, skakał, bluźnił, różnymi językami gadał, i po łacinie, i po niemiecku, i takim nawet językiem, że go nikt nie rozumiał, a najbardziej księży nienawidził. Takich, moje dziecko, nawiedzonych o mil kilkadziesiąt tu do Koście-

niewicz do księdza Obłoczymskiego przywano. Oho! jak tylko po mszy świętej pokazał się on z kropidłem, stulą i agendką, zaraz dyabeł go poznawał i wiedział co z nim będzie. Toć już zaczynał łajać świątobliwego kapłana, — a ty klechu! a ty taki! a ty owaki; czego chcesz odemnie? rzucał się w oczy, groził; ale to nic nie pomogło. Ks. Obłoczymski przystępował odważnie, kropił najpierwej babę wodą święconą i związywał stulą, przy stosownych a gorliwych modlitwach; dyabeł poznawał, że kusa rada; dalej więc do próśb, do lamentów i obietnic: a ojczeku, a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiem co z tobą będzie po śmierci, a ciebie nauczę gwiazdy liczyć! — Nie, nic nie chcę od ciebie, wołał Obłoczymski, wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił. — Aj! aj! aj! nie lej warem, wrzeszczał dyabeł. Bo widzisz moje dziecko, woda święcona parzyła go jak ukrop. — Zaraz wyjdę, zaraz; ale gdzie mi się podzieć; pozwól księżu wlaść ot tu niedaleko, w tłustego wieprza. — Obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty organista wlecze się przez cmentarz. Poznał Obłoczymski chytrą dyabelską: — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź tam skądś przyszedł i gdzie tobie Bóg naznaczył mieszkanie! Wy-

chodź wnet! — Nie chcę ja do piekła, księżulu, nie chcę! oto wiesz co? pozwól wlażę w zgniłą kłodę tam na drodze pod Kurzeńcem. Miarkował znowu Obłoczyski, że szatan myśli go oszukać — dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi, chłopiek pijany leży na drodze, i zły duch chce tylko odmienić kwatere. — Zgadłeś, klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan. No to wyjdę, ale daj mi czasu, wyjdę za rok, dam cerograf na to. — Obłoczyski na żadne termina nie zgadzał się, a coraz bardziej modlitwą, kropidłem i świętymi słowami dyabłu dokuczał; to koniec końcem musiał czart ustępować i wyjść z nawiedzonego. A że bywały zdarzenia, iż szatan niby wyszedł, a tylko się przytail, więc kapłan zaklinał, aby dał znak swojego odejścia. — Dobrze, księżuniu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie: to się znać było, że na pożegnanie skrzyłby palec, lub oko biednemu nawiedzonemu by wylupił. — Nie, szatanie! wyjdź jakeś wszedł! *Conjuro te!* Łaciny najbardziej dyabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umie. To już dalej nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakręcił wichrem na piasku; a biedny nawiedzieniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nieżywy u nóg Obłoczyskiego. — Wszyscy potem za promotorstwem tego świę-

togo ojca odmawialiśmy litanie, dziękując Bogu za cud wyraźny i wyzwolenie duszy chrześcijańskiej z mocy czartowskiej.

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dzieśiątek, mówił dalej mój dziadulek, siadając ze mną na owym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajnem odpoczynku, i dogadzając żywej mej chęci słuchania, która wzajemnie jego chęci opowiadania dziejów dawniejszych, chęci tak zwyczajnej starcom dogadzała, gdy razu pewnego ze stron dalekich przywieziono opętańca, o którym powiadano, że był szlacheckiej kondycji, że nawet nie dawno odprawił pielgrzymkę do Rzymu, co tem większą nabawiało nas ciekawością, i ksiądz Obłoczyski tem świątobliwiej przygotowywał się do tej praktyki. Ależ to w nim musiał być niechybnie sam Lucyfer! Rzecz tylko dziwna, jak się dostał do tak bogobojnego człowieka? Jakież uparty! jakież bluźnierca! zimny pot lał się z czoła biednemu kapłanowi. Po trzykroć czynił najsilniejsze zaklęcia, wszystkich nas obecnych wzywał abyśmy się modlili, co też i czyniliśmy bez ustanku; organistę jako nałogowego opilca, a zatem będącego w grzechu śmiertelnym precz odprawił, słowem, pracował jak mógł najgorliwiej i nakoniec uchodził szatana — Jezuito! krzyknął bies wściekły. Jezuito! wychodzę, wypędzasz mnie,

wypychasz gwałtem! ale pamiętaj, Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą: z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką! pamiętaj na moje słowa! pamiętaj, Jezuito! Wtem kichnął opętany, aż mu się krew nosem rzuciła, i padł jak bez duszy. — Zgiń, przepadnij, do piekła, szatanie! krzyknął ks. Obłoczyski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje prorocтва! Amen! zawołaliśmy wszyscy, i zwyczajną wnet zaczęliśmy litanią.

Niestety! czart wiedział co wyrzekł. Ledwo lat dwa potem upłynęło, gdy raz do izby gdzieś różaniec z czeladką odprawiał, wszedł dodnia ksiądz Obłoczyski. Zdziwiły mnie tak ranne jego odwiedziny: *Laudetur Jesus Christus! In saecula saeculorum!* odpowiedziałem. — A, nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować różaniec; więc tak i zrobiliśmy. Po ukończeniu zapytał mnie ks. Obłoczyski: czy pamiętasz waszec, panie Macieju, tak mnie bowiem w prostocie serca i poufałości przyjacielskiej nazywał, czy pamiętasz waszec, co powiedział ostatnim razem szatan, gdy go z nawiedźcą wypędzał? czy pamiętasz, co prorokował naszemu zakonowi? — Przypominam — rzekłem. — Otóż się

i ziściło. Niema już Jezuitów! — Jakto? zawołałem, *Reverendissime?* Nie rozumiem co mówisz! — To się ma znaczyć, że Klemens XIV. skasował nasz zakon; bulę jego dziekan wczoraj wieczorem przywiózł do naszego klasztoru; dziś nam ją *ex officio* ogłosi: kościółek nasz i klasztor przyjmie w swoje zawiadywanie a nam rozejść się dozwoli. Przychodzę więc do waszeczki, panie Macieju, prosić małego kątka dla mojej starej głowy i kawałka chleba. Będę ci pomagał w twojej gospodarce, będę twoich dzieci i twoich chłopców uczył Boga chwalić, i będę jego łaski w codziennych modlitwach dla was prosił. — Ojcze! rzekłem płacząc i całując, jak zwyczajnie to czyniłem, jego ręce, ojcze! każdym kęsem, każdą odrobiną chleba mojego podzielę się ochotnie z tobą; mieszkaj z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubogiej chatce mojej, gdy święty sługa jego w niej przemieszkiwać będzie! — Płakaliśmy obadwaj; uściskał mnie ksiądz Obłoczyski! — Tak Bóg chciał, rzekł: tego widać wymaga dobro naszej religii świętej; oby wszyscy bracia moi z równą co ja, ten cios zniesli cierpliwością! Spodziewałem się, że waszec mnie przyjmiesz chętnem sercem; ot przynajmniej będę mógł codzień odprawić mszę w kościele, w którym przez tyle lat Boga chwalilem; i pocieszać się z waszecią,

panie Macieju, którego jak brata kocham. Uścisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim nowym gościem do klasztoru.

Do ostatniej tam chwili jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczajnych godzinach codzienne odbywało się nabożeństwo; na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia lub wewnętrznego niepokoju; w podwojonej tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomości rzeczy, widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku, uciekającego się do Boga i szukającego ulgi w zupełnej uległości jego świętym wyrokom.

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach i w samem tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim, napełnił kościół. Po ukończeniu nabożeństwa stanął ksiądz dziekan *pontificaliter* ubrany na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie księży, odczytał bulę papieską, kasującą zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów.*) Wnet po ukończeniu ksiądz Obłoczyski jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego zgromadzenia *ex abrupto* począł mówić oracyę pożegnalną. Obowiązy-

*) Z miejscowego podania.

wał on braci swoich do zniesienia bez szemrania woli Bożej, objawiającej się wyrokiem głowy chrześcijańskiego kościoła; zaklinał, aby przestając być zakonnikami, pamiętali, że są kapłanami, i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętej Chrystusowej religii, a zatem, że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnót chrześcijańskich, a teraz szczególnie cierpliwości i pokory; zegnał potem nas jako pasterz trzodę, którą opuszcza. Płakał lud zgromadzony, płakali kapłani i my wszyscy; ksiądz dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec ksiądz Obłoczyski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego: przez chwilę tak cicho w głębokiem zebraniu ducha pomodliwszy się powstał, zaintonował *Te Deum laudamus*, wziął krzyż w ręce, wyszedł z kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne i klucze w ręce dziekana złożył. Rozeszli się księży w rozmaite strony, to do rodzin swoich, to do Wilna, to na kapelanów. Mój ksiądz Obłoczyski, wzięwszy krucyfiks w ręce a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

Odtąd aż do śmierci składał on z nami jedną rodzinę; szanowaliśmy go jak ojca, on

kochał nas jak dzieci. Oto między kilką temi sosenkami grób jego; wybrał on sam i poświęcił ten gaik na cmentarz dla chłopców naszych i sobie na nim miejsce przeznaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine*; wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przyjaciela, wśród poddanych i sług moich. — Ale co mówię? źle nazywam, wśród braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chleb robi i dla nas w pocie czoła pracuje, to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziej. —

Te i tym podobne rozmowy wlewały w duszę moją najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka: jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i zwyczaje razem zlane utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń, do których przylgnęło młodzieńcze serce moje, i które po wielu latach otrętwienia z głuchym żalem budzą się w niem na nowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spojrzenia na przeszłość naszą; i dumając nad każdym osobliwszym tej drogi wypadkiem, spocząć na koniec ostatniem westchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda. Rzekłbyś, że dusza nasza przygotowuje się tym sposobem i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy, nieprzebyty szlak wieczności, na które z łona

jej spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie pierwsze z ostatniem ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takim to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego i powtarzam z rozrzwienieniem słowa warmińskiego wieszczka:

„Domku mój miły! widok mnie twój krzepi,
Wszędzie mi dobrze a w tobie najlepiej.“

BORUNY.

ANTONIEMU EDWARDOWI ODYŃCOWI

współuczniowi boruńskiemu,

w którego sercu znalazłem równy mojemu zapas
uczuć i wspomnień, z jakich się składa ten obraz,
poświęcam i przypisuję.

Dalekich dzwonów dźwięk mnie dolata,
Kraj przypomina obraz Litwy,
Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy!

ODYNIEC, Dumanie we Włoszech.

I.

Pod opieką słynącej cudami Matki Boskiej,
w Borunach, wzrastało i uczyło się w szkołach
kilkaset corocznie dzieci. Rodzice z dalszych
i z blizkich okolic Oszmiany, przywiózłszy tu
i zostawując swych synków, prowadzili ich
przed ołtarz Bogarodzicy, ze łzami błagali Jej
łaski, zlewali na ich dziecinne głowy czułe
swe błogosławieństwa i ze spokojniejszym ser-
cem wracali potem do domu; nieraz z osta-
tniego za Borunami wzgórza, z którego krzyż
już tylko kościoła dojrzeć można było, zapła-

kana matka wysiadła raz jeszcze z pojazdu
i gorące modły przesyłała ku miejscu, gdzie
najmilszą sobie istotę, gdzie duszę swej duszy
zostawiła; gdy tymczasem rozdzielony żak od
mamuni płakał stojąc na ulicy i poglądał na
drogę, na której pojazd zniknął, i na której
tym sposobem spotykały się wzajemnej ich
tęsknoty westchnienia!!!

Zdarzyło się któremu z moich boruńskich
kolegów być teraz w opustoszałych Borunach?
O! nie jednemu zapewne. Lecz czyliż kiedy-
kolwiek z równem mojemu uczuciem poglądał
tu na ślady swej młodości? czyliż z równym
urokiem smętnego rozrzewnienia upadł na
kolana przed tym samym obrazem, przed któ-
rym niegdyś w ordynku klęczał? Czy rozmie-
rzył duszą tę przestrzeń i różnicę czasu i tę
jeszcze większą różnicę młodzieńczego i star-
ganego przygodami życia, serca? Czy uczuł
głęboko wewnątrz siebie to politowanie nad
sobą, którem człek oskarża życie przed dawcą
życia i w którym wzywa na siebie jego przy-
chylnego wejrzenia, jak dziecko wzywa przy-
bycia oddalonej a czuwającej nad nim matki?

Boruny leżą w lesistej części powiatu
oszmiańskiego:

„Gdzie niedźwiedź miał legowisko,
Lub gdzie łoś swe pastwisko,
Tam grzesznik pokarmem żyje
Niebieskim etc.”

powiada stara pieśń na cześć cudownego boruńskiego obrazu ułożona. Puszcza to więc była zapewne głucha natenczas, gdy pokorni zakonnicy Ś. Bazylego obrali tu sobie odludne siedlisko. Wspaniała potem świątynia i obszerny klasztor wzniósł się na tem miejscu słynącym już szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; a nakoniec pustynia ta ożywiła się zbiorom dziatwy wyśpiewującej co niedziela historję i chwałę miejsca tego.

Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzuconem sercem, wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem. Mrok właśnie padał pięknego letniego wieczora, i zdawało się mi, iż się zaraz wysypie ze wszystkich domków otaczających rynek mnóstwo wesółch malców; że się rozlegną huczne ich hałasy; że echa odbiją zaraz taktowe uderzenia piłki o wieże i mury otaczające kościół; że się zwolna wysuną z klasztoru księża profesorowie, a nawet i sam ksiądz prefekt dobrodziej; że przypatrując się czas niejakiś z upodobaniem temu powszechnemu zamieszaniu, temu żywemu obrazowi wesołości, młodzi szczególnie z nich i żwawsi nie dotrwają nakoniec, jako i nie dotrwali w powadze swego urzędu i stanu, a złączą się w równość braterską i podziela z całego serca rzeźwe i niewinne

studenckie swawole! — Ileż to razy bowiem ksiądz fizyk naprzykład, albo ksiądz wymowy, zawinawszy habit około butów, biegł jak łoś do mety, albo przylepiał szeroką swą łapę do muru na cel koźlistej piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina, musztrował rotę wybranych i równie jak on uzbrojonych rycerzy!!!

Ale oczekiwania moje, omamieniem wzbudzone, nie wywołały mi tu przeszłej ani odmieniły teraźniejszej rzeczywistości. Domki wpół porozwalane nie roily się dziatwą; po cmentarzu przesuwiał się mnich ponury; po ulicach przewlekała się obdarta hołota; na rynku tylko pod kaplicą siedziała baba w łachmanach i wśród głuchego milczenia mruzczała modlitwę wieczerną, przypadającą szczególnie do tego obrazu nędzy i żałoby. Miałaby to być półtorawieczna Raducina, pomyślałem, niegdyś postrach i zabawa studentów? Nie zapewne! ale zajmując tu zwyczajne i ulubione jej miejsce, postać, rysy i czyny Raduciny dawnej rzuciła mi na wyobraźnię.

Była to prawdziwa *Megmeryllis* boruńska: baba stara ale czerstwa i wysoka, często półpijana, często półwaryatka. Kiedy szeroko rozpuściwszy łachmany, szła z podniesioną głową przez rynek, czarnym wywijając ozo-



giem, i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę, uciekała dziatwa z drogi, krzycząc: czarownica! czarownica Raducina!! Ale kiedy spokojnie i smutno siedząc wieczorem na swym pod kaplicą kamieniu, przywabiła którego ze śmielszych swych faworytów i ciekawe mu zaczęła prawić historye, o upiorze, który oto tu z tego samego sklepu z pod kościoła co noc wylazł i szedł prosto na mogilnik, a potem znowu wracał do sklepu, jak mu potem głowę ucięli, i już potem nie chodził; jak leciała szarańcza aż słońca widać nie było, a na skrzydełkach u każdej po żydowsku napisano było, że to kara Boska; jak było powietrze i wszyscy poumierali; jak potem ten kościół murowali i Raducina cegielki podawała, a mularz jeden zleciał z dachu, ale cudem Matki Boruńskiej powstał z ziemi żywy i zdrowiuteńki; a jak to wszystko było, zawsze lat sto... Gdy tak opowiadała, to wnet gromadziło się coraz liczniejsze kółko słuchaczy, zapominano Raduciny czarownicy, a biednej staruszce Raducinie w czarne torby i kieszenie, miedziaki, pirogi i obwarzanki pakowano. — „Dziękuję wam Jasiu! Antosiu! Leonardku! dziękuję wam, mówiła ona, dajcie łapki, powrócę wam za to.“ Wnet kilkanaście rąk wysuwało się naprzód: niespokojna cieka-

wość malowała się na czerwonych policzkach malców. Raducina brała każdą z kolei rękę, a patrząc w oczy ze złośliwym uśmiechem, improwizowała prorocтва: „Ty będziesz!!! O! tobie będzie dobrze na świecie! Ty będziesz ekonomem.“ Baba wiedziała, że to pan marszałkowicz. — Antoś ekonom! Antoś ekonom, krzyknęła cała czereda, i pan marszałkowicz spuścił nos na kwintę. „A ty! ty choć sobie teraz chudy pacholek, szlachtuna z Polennik, ty będziesz... jenerał.“ — Leoś jenerał: wiwat Leoś jenerał! ozwał się znowu skaczący chór figurantów tej sceny. — A ja? a ja? wołają wszyscy razem, tłoczą się jeden przed drugim i gwałtem naprzód wyciskają dłonie. „Ty! ty będziesz wotywę śpiewał, *Oremus*.“ — O reverendissime Jasiu! reverendissime! winszujemy, brawo! *Oremus*, *Oremus*! i Jaś nie wiedział czy cieszyć się, czy płakać nad swoim przeznaczeniem! „A ty paniczu! tobie w sobotę pieniek, a w niedzielę pirogi!“ Raducina niedawno wróciła z wędrowni okolicznej; wszędzie po domach rodziców przyjmowano ochoczo i uprzejmie babę boruńską, wiedziała więc zapowiedzianą w niedzielę bytność mamuni Tadeuszka, i wiedziała, że Tadeuszek naczelny wisus, pewnie nie ujdzie sobotniego rozrachunku. — Nagle

wstaje baba, prostuje się okropnie i ryknie chrapliwie:

„Pewny sobie bogaty
W złoto, srebro, szkarłaty
I zbyt kosztowne szaty,
Miał aksamit, purpury,
A na mnie łąty, dziury!*)

Postać, mina, głos i ożog, na którym się wsparła, powraca Raducinę czarownicę; spłoszona zgraja rozbiega się w mgnieniu oka, i nie jeden zuch przelekniony zasnąć nie mógł, słysząc jak ponuro i z cicha do północy jeszcze dzieje Łazarza z pod kaplicy jak z grobu wyciągała.

Zgasły dnia blaski, niebo gwiazdami się osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój złote chwile dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należycie! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa, stał potężny olbrzym; głowa sfinksa, z dwóch czarnych węgli żrenica, tułub Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu; w rękę trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu, kto się jej dotknie! Co wieczór, gdy odwil-

*) Pieśń o świętym Łazarzu.

zone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednej strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany generał; z drugiej pan Justyn, podżyły infimista, trzecioldni weteran klasy I-szej, niemocny wprowadzie na dowodach, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową“, ależ za to biegły gracz w matony, pierwszy rycerz na ślizgawce i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

„Wysuwa się ochotnik z tej i z owej strony
Zrazu poszły na udry, potem na plutony“.*)

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu, i lubo zmrok wieczorny zacienia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. „Postrzega pan Stefan, że sprawa po dyable***)“, że pan Leon grasuje po jego rotach, jak kawalerzysta po rozbitej piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu! Za okopy mości panowie! za okopy! krzyknął: któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi?... Ale w tym momencie błyska od klasztoru światelko, zna-

*) Amfitryon, tłumaczenie Zabłockiego.

**) Tamże.



joma to latarka!!! Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt! Przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światelko się posuwa!... wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzchnęło!!! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją i ze zbitą latarką, znajduje pustym plac pobojuwiska. Następuje rewizya po kwartach; próżne usiłowania znalezienia winowajców! Siedzą wszędzie małcy spokojnie około stołów, a zatknąwszy uszy i zamrużywszy oczy, wrzeszczą na zabój:

„Byli tacy, byli tacy aniołowie, aniołowie, aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili“ i t. d.*).

II.

Ostatni w Litwie pustelnik żył przed dwudziestą laty pod Borunami. Zaledwo mnie, na liczbę kroków świadomemu odległości jego pustelni od miasteczka, udało się wynaleźć to miejsce. Bujne drzewa wzrosły na czystym niegdyś jego ogródku, pasorzytne zielska rozwlekły się po darninie szczupłego dziedzińca, a mały kopczyk z gruzów oznaczał mogiłę zapadłej chatki. Księżyc łagodnym blaskiem oblewał

*) Historia kościelna na klasę I-szą.

ten maleńki krajobrazek, wśród którego ja, wędrownik daleki, za duszę przyjaciela mych dni dziecinnych szczerą, a prostą modlitwę „wieczne odpocznienie“ zmówiłem. Poczciwy starzec! jakże on kochał dziatwę boruńską! Był on sędzią naszych spraw, a często poręcznikiem u pana dyrektora lub u księdza prefekta; on przewodniczył w zbieraniu na zapas zimowy orzechów, jabłek i gruszek leśnych, których u siebie dla swych codziennych gości niewyczerpany miewał dostatek. Toteż gdy po rannem powitaniu wschodzącego słońca pieśnią: „zawitaj ranna jutrzeńko“, którą echa do miasteczka donosiły, ojciec pustelnik pokazał się na ulicy, otaczała go dziatwa w około, a skacząc i witając radośnie przeprowadzała do kościoła na mszę studencką, na którą on nieodmiennie codziennie przychodził. Na twarzy jego sędziwej, gęstą i siwą ozdobioną brodą, widziałbyś natenczas najprawdziwszy wyraz gorliwego uniesienia i głębokiej wiary, jaką prosta dusza jego pałała ku Bogu; łzy toczyły mu się po bladych licach, gdy klęczący z podniesionymi rękami łączył głos swój drżący z chórem dziatwy śpiewającej: „Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami.“ Tak wzносиły się razem w niebiosy modły z obu ostatnich kresów życia ludzkiego, nadziei życia

i nadziei po życiu: modły dziecinnych błagań, uwielbienia i chwały, czyste, żywe, błyszczące, jakby brylanty na ozdobę korony Matki Boskiej na jej ołtarz sypane, i modlitwa żebrzącej pokory, skruchy, żalu, a może i pokuty, głęboka a ciężka, jakby bryła głazu z trudem podjęta i na stopniu ołtarza w ofierze złożona.

Zresztą modły pokutne ojca Onufrego nie były zapewne gorzkimi. Zgryzota sumienia nie wywlokła go z pośród ludzi na samotność, ani truć tej samotności; przeszłość jego powszednia, że tak powiem, nie szła po ostrych szczerbach życia, któreby wypadki kończąc się pustelnictwem, mogły służyć za ośnowę romantycznych powieści. Szlachcic, za młodu żołnierz, potem dworzanin jednego z magnatów litewskich, na koniec gospodarz na małym własnym kawałku ziemi, ożenił się on i pędził z przywiązaną do siebie żoną życie spokojne obyczajem prostej i poczciwej szlachty naszej, a obyczajniejszej polorem, w rozmaitych kondycjach, które przebył, nabytym. Pociecha podeszłego ich wieku, nadzieja starości, synek jedyny, wychowywał się im do lat siedmiu rzeźwo i zdrowo. Hasał on raz na koniku po polu, rodzice nań z wiśniowego ogródka z czułem uniesieniem patrzali. — Tęgi chłopak! powiadał ojciec. — Kochane

dziecko! mówiła matka: cóż z niego będzie? — Będzie pocziwy człowiek, Teresiu! oddamy go do szkół. — A potem? — A potem jak się wszystkiego wyuczy, powróci do nas. — A potem, moje serce? — Potem, a moja duszko!... cóż potem? dworów niema teraz takich, w jakich za młodu służywałem: do wojska!... — Jednego jego mamy, a któż naszą starość dochowa? — Więc potem, tak wypada, moja duszko, ożenim go. — A potem? — Ha! potem, śmieszna jesteś, moja Teresiu; potem będziemy wnuków kołysać, Antos będzie gospodarzyć, pracować będzie na swoje działki i na swoich rodziców. — A potem, moje serce, będziemy żenić naszych wnuków. — Oho! moja duszko, tybyś chciała żenić aż do siódmego pokolenia! Nie, moja Teresiu! potem będziemy starzy, ty będziesz wnuczkom lalki ubierać, a ja wnukom będę koniki strugał, i będziemy spokojni i będziemy szczęśliwi! — Tak, będziemy szczęśliwi! powtórzyła żona w upojeniu macierzyńskiego rozrzewnienia, będziemy szczęśliwi... Wtem, ach! o Boże! krzyknęła nagle i padła bez ducha! Konik Antosia uląkł się jakiegoś krzaku, spał się raptem, zrzucił jeźdźca i poleciał jak strzała... Matka już więcej nic nie widziała, ale ojciec w mgnieniu oka przeskoczył płotek ogródka, i biegł co tchu

za koniem, który ciągnął za sobą ukochanego Antosia, uwiecznego za nogę w strzemieniu; nakoniec koń ugrzązł w błotku i nieszczęśliwy ojciec dopadł syna zbitego, krwią zlanego i nie dającego znaku życia!!! Otóż nadzieje ludzkie! oto szczęście ludzkie! — Zazdrośny człowiekowi, niewidomy wróg rodzaju naszego, szatan, czatował zda się na ostatnie słowa cieszącej się matki, na jej najdroższe nadzieje! „Tak będziemy szczęśliwi“, chwycił te słowa w swoje szpony, zgniótł je zajadle, zgruchotał i cisnął pod nogi... Niestety! już się one nigdy odtąd w tych samych ustach nie powtórzyły.

Przyniósł drżący i zapłakany ojciec ukochane swe dziecko do domu i złożył na łóżku, przyniesiono z ogródka żonę, ocuciła się wkrótce, a pierwsze jej słowa były: *Syn mój! mój Antoś!* Wbiegła do drugiej izby, gdzie schylony nad łóżkiem mąż jej tamował krew z ran Antosia i cucił go wszelkimi sposobami: podjął on głowę na krzyk żony, stanęli oboje nad synem jak wryci, i spojrzeli na siebie wzajemnie!!! Ach! ten wzrok, którego wyobrazić nie potrafię, ten wzrok rodziców nad trupem swojego dziecka! nie przedstawiaj go sobie czytelniku, jeżeli jesteś ojcem, abys sobie wielu bezsennych nie przyczynił nocy. Wzrok ten przebił ich do głębi, wstrząsł

całem ich jestestwem, dobył nakoniec łez krwawych z osłupiałej źrenicy, chatka rozległa się rykiem obojga rodziców i jękiem przywiązanej czeladki... W lat kilkadziesiąt potem ojciec Onufry opowiadający tę chwilę męczeńską swojego żywota, znieść jej obrazu nie mógł; przestawał mówić, ciężkie westchnienia tamowały mu oddech i krępowały język, i ledwo po długiej chwili osłupienia łzy rozwiązywały mu usta i wolniej znowu oddychając, kończył opowiadanie.

Jednakowoż Antoś odżył, ale radość stąd żywa rodziców zmieniła się wkrótce na ciągły smutek, tak jak gwałtowne zabicie się ich syna na ciągłą mu przemieniło się chorobę. Uderzone niebezpiecznie w piersi, schłodziło dziecko i niszczało widocznie; próżno codziennie i doktorskich i domowych używano leków. Niekiedy błysnęła nadzieja: chłopiec na dni kilka polepszał się, natenczas orzeźwiał się i rodziców życie, wędniejące z nim razem; ale gdy rychło znowu wróciła mocniejsza choroba, wracał wnet razem coraz wzmagający się smutek. Niespokojna matka tuliła do łona ukochane swe dziecko i koła jak mogła jego cierpienia; niekiedy trzymając je na ręku padała przed obrazem Matki Boskiej, a łzami i modlitwą boleść macierzyńską Maryi przy śmierci Syna na krzyżu

przypominała; to znowu ojciec biorąc chorego z rąk matki, nosił go, pieścił, całował, własne jakby mu zdrowie chcąc przelać. Chłopczyk zapominał natenczas o swojej chorobie, obejmował szyję ojca, kładł bladą główkę na jego ramieniu i cieszył go mówiąc: „Nie płacz, ojcze! ja zdrow będę, mnie już lepiej.“ Ach! natenczas krajało się serce ojca nie mającego żadnej nadziei, a jednak zdawało mu się, że śmierć nie zdoła mu z rąk wydrzeć syna, i dlatego nosił go tak zwieszzonego na swych piersiach jak najdłużej i z trudnością składał na łóżko, od którego ani na krok nie odstępowali oboje. — Nakoniec matka, życiem własnem do życia dziecka przylgnięta, bezustanną gorzką troską dręczona, bezsennymi nocami zmordowana, sama wpadła w chorobę i obok syna zaległa łóżko. — Albo daj mi Boże wstać z nim razem, lub z nim razem umrzeć! — wołała niekiedy, i codzień słabiejac los swój zgadywać się zdawała.

Wśród tak smutnego stanu rzeczy pewnego wieczora chorzy w drugiej izbie leżący, usłyszeli w pierwszej: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*“ i zaraz potem: „*Święty Justyn pozdrawia!*“ — Kto tam? odezwała się słabym głosem gospodyni. — Podróżna, biedna uboga: chodzę po świętych miejscach, po

cudownych, prosząc Boga za drowie moich dobrodziejów; wracam z Miadziola od św. Justyna, a idę do Borun. *Kyrye elejson! Chryste elejson!* i t. d. Zwlekła się natychmiast chora z łóżka, i wszedłszy do pierwszej izby, ujrzała stojącą babę starą, w ubiorze zwyczajnym wędrujących dewotek. Półpłaszcz gruby sukieny, czarny, dobrze wytarty, z pod niego długa koronka, na końcu której krzyżyk i kilka medalików mosiężnych; na piersiach duże szkaplerze, a z ramienia jakby znak widomy cechu żebrackiego, od którego ją ubiór odróżniać zdawał się, torba łatana wprawdzie, lecz dobrze pękata, i kij podróżny, jakiby przystał raczej silnemu parobkowi, niżeli ubogiej i słabej niewieście; do tego kaptur na głowie trochę na bakier wciśnięty, spojrzenie śmiałe i ciekawe, a postać wysoka i prosta. Figura taka w końcu ciemnej izby stojąca, ponurym głosem mrucząc modlitwę, temże samem uczuciem trwogi i przeżenienia napełniła chorą, jakiem nieraz w postaci czarownicy studentów boruńskich nabawiała. Była to bowiem znajoma nam Raducina, w podróżnym a uroczystym swym ubiorze, ze świątobliwych wracająca wędrowek, które corocznie w rozmaite strony, nie tak dla dewocyi, jak raczej dla odwiedzenia znajomych dworów, zebrania zapasu nowinek na

rok cały i sowitej na odpustach jałmużny, odbywała. — Ach! moja babko, pomódl się za zdrowie mojego syna — przemówiła ośmielelona pani Onufrowa. — Dobrze, dobrodziko: ale zdaje się, że i dobrodzika nie bardzo zdrowa jesteś! — odpowiedziała Raducina. — Tak moja babko! ale mniejsza o mnie! — Pan Bóg z nami, dobrodziko, jak to mniejsza? pomodlę się i za matkę i za syna, a mam modlitewkę doświadczoną; tylko dobrodziko opowiedz mnie o chorobie, jak, co jest? i skąd лихо się wzięło? Może kołtun, może czary, uroki? — Nie, moja babko; — i tu opowiedziała gospodyni całą historię przypadku Antosia, i nawet zaprowadziwszy babę do alkierza ukazała jej chorego. — Żle zrobiliście, dobrodziko, że zaraz po przypadku nie ofiarowaliście synka do miejsc świętych: do Żyrowiec, do Budy, do Borun. Oj! do Borun, dobrodziko! do Borun! Nieraz widziałam sama, jak chory ledwo się tam przywłókł, a przecież za łaską i cudem naszej boruńskiej Opiekunki, wrócił zdrowiutętki jak rybka! do Borun, dobrodziko, wieźcie synka! — Błysnęła nadzieja, chwytała się jej nieszczęśliwi rodzice. Po krótkiej więc naradzie postanowiono za przewodnictwem Raduciny odbyć pobożną peregrynację do Borun i od jutra wybrać się w podróż; a tymczasem

utraktowano babę hojną wieczerzą i na świeżem sianie w odrynie wygodną na noc wyznaczono gospodę.

Nazajutrz ledwie kur zapiał i zwiastował świtanie, pan Onufry już przyrządzał wóz podróżny. Wyszła i Raducina z odryny z koronką w rękę i przechadzając się po gumni-sku, odmawiała różaniec, przerywając niekiedy modlitwy uwagami względem zapasów podróżnych tak dla chorych, jako i dla zdrowych nieodbicie potrzebnych. Wyniósł nakoniec parobek schorzałego Antosia, za którym wywlekła się i słaba matka jego; oboje umieścili się na wozie, parobek siadł za woźnicę, pan Onufry obok piechotę, a Raducina na przodzie prowadzić miała tę karawanę. Już wyruszali, gdy wysypała się wierna a pocziwa czeladka, ostąpiła powóz, całowali wszyscy ręce pani, panicza i pana, ze łzami polecali ich Bogu i życzyli szczęśliwej drogi. Pan Onufry poruczając im swoją chudobę i domek, rozplakał się także; Antoś żegnał zapłakaną rzewnie swą mamkę, a pies *Rozbój* pełzał i łasił się około nóg panów swoich, prosząc jakby pozwolenia na drogę. Raducina usiadła na ganku pod spichrzem, oparła ręce i brodę na kiju i kiedy niekiedy kiwała smutnie głową. — Jedźmy, rzekła nakoniec, więcej od wszystkich zalana łzami pani Onu-

frowa, bądźcie zdrowe, dziatki! proście Boga, abyśmy do was wrócili... a jeśli nie wrócimy, módlcie się za naszą duszę! — Ruszyli więc. — Zatrzymajcie psa, odezwał się pan Onufry. Ujęto Rozboja za szyję, ale łagodne zawsze psisko na ten raz prawdziwym okazało się rozbojem; warknął zajadle, wyrwał się z rąk trzymającego chłopca, przeskoczył zamknięte wrota i złączył się z podróżnymi. Pan Onufry nie miał już serca odpędzić go, owszem poglądził łaskawie, a Rozbój podskoczył raźnie i pobiegł szczęśliwy naprzód. Był on potem jedynym towarzyszem i stróżem pana swojego na pustyni, a faworytem i pieszczochem całej szkoły boruńskiej. O ileż go razy swoją własną ręką głaskałem! codziennie prawie nawiedzał on swoich przyjaciół w miasteczku, zachodził nawiasem do księdza kanafarza w klasztorze, oddawał potem wizyty po kwaterach naszych, a jakby instynktem trafił zawsze tam, gdzie był świeży od mami transport. Położywszy natenczas pysk na kolanach malca, rozdzielającego kolegom wyborne przysmaki, czekał Rozbój spokojnie swojej porcy, i porcy Rozboja nie była najmniejszą.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, idąc na przodzie Raducina, upadła na drodze na kolana: zdziwieni podróżni zbliżyli się do

niej i postrzegli krzyż kościoła boruńskiego, uczynili więc toż samo oboje rodzice Antosia. O! mogłyż być czyje kiedykolwiek gorliwsze modły jak ojca i matki, błagających o zdrowie dla jedynego dziecka, i w głębokiej wierze oddawane jakby osobiście obecnej opiekunce nieszczęśliwych! Podnieśli i Antosia na wózku, i jemu modlić się kazali, ale z przerażeniem postrzegli rodzice zupełną słabość dziecka; nie miał siły zmówić pacierza, tylko konwulsyjnie chwycił za szyję ojca i matkę i ostatnim wyrazem jedyne uczucia całego krótkiego swego życia i ostatniej swej chwili wymówił: Matko! Ojcze! jakże ja was kocham bardzo!!! jakże ja was kocham!... I opadł na wózek. Spiesznie ruszano ku miasteczku, w nadziei jakiegokolwiek ratunku, ale niżej doń dobiegli, Antosia już nie było... Okropny był natenczas widok tego śmiertelnego wozu. Matka nie płakała; nie leż, ale życia jej ostatnie krople dosączały się nad trupem dziecka; ze zsiniałą twarzą i z osłupiałem okiem trzymała ona na kolanach bladą głowę zmarłego, obraniając starannie, aby się od wstrząśnienia wozu nie uderzyła. Nieszczęśliwa! była pewną, że syn jej nie żyje, a piastowała go jeszcze!... Ojciec, któremu ten nagły i okropny cios ścisnął serce, usta i powieki, padł pośród wozu pod

nogi dziecka; nakoniec przerażona i bezprzytomna Raducina siedziała obok furmana. Widząc jej twarz bladą i zeszlą, włosy rozczochrane, postać wychudłą i dziką, widząc, jak długie i suche ręce naprzód wyciągając, nagliła konia do biegu, rzekłbyś, że to śmierć naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły.

Nazajutrz matkę obok syna na katafalku, ojca na łóżku u księdza aptekarza złożono! któżby zniósł tyle razem nieszczęść!!!

Czas, starania i religijne pociechy, którymi poczcivi zakonnicy osładzali codziennie dołę nieszczęśliwego, wróciły zdrowie ciału i niejakię uspokojenie umysłowi jego; a może więcej niż to wszystko, ktoby się spodziewał, rozmowy częste z Raduciną, która codziennie prawie jakby wiadomości od żony i syna z tamtego świata, sny mu swoje o nich lub *zdanie się* opowiadała, sprawiały na nim ten skutek. — Dobrodzieju! dziś widziałam przez sen Imość nieboszczkę w ogrodzie i z Antosiem. Panie świeć nad ich duszyczkami! Oboje w bieli: ale jaki ogród, dobrodzieju! jak raj. Imość chodzi, a kwiatki zbiera i ubiera nimi panicza: podchodzę ja dobrodzieju, daje mnie kwiatek, a jakież kwiatek? kluczyki; zanieś, powiada, memu mężowi,

to ja i wzięłam kwiatek i... ocknęłam się. A cóż to znaczy? koniecznie dobrodzieju, że sama z synkiem w raju, i nam daje kluczyki od raju. — To znowu widziała matkę i syna klęczących przed ołtarzem Przeczystej boruńskiej, a zawsze w bieli, więc zawsze taki wniosek: „już to darmo dobrodzieju, taka wola Pana Boga, żyć dłużej nie mogli, ale oni w opiece Matki Boskiej szczęśliwsi od nas, bo i w niebie i modlą się za jegością!“ W chorobach duszy, tak jak w chorobach ciała, często gdy sztuka wyczerpnie napróżno wszystkie mądre sposoby, proste lekarstwo ręką życzliwą podane a z zaufaniem przyjęte uleczy. Podobnie opowiadania Raduciny, tak zgodne z pojęciem i wyobrażeniami nieszczęśliwego ojca, ujęły proste i pełne wiary serce jego i wzbudziły w nim pokorne poddanie się woli Boga, ale też razem przywiązały go do miejsca, w którym cień od mogiły żony i syna padał mu codzien na serce, i w którym codzien duszą i modlitwą z nimi obcował. Pozbył się więc łatwo i rychło pan Onufry swojej chudoby, a gdy brak odpowiedniego usposobienia przeszkodą mu był do wzięcia zakonnego habitu, zajął więc od lat kilku opuszczoną małą pustelniczą pod Borunami chatkę, i odtąd pustynia, kościół i cmentarz składały

krag, po którym obiegało codzienne jego życie, i taż samą koleją przeszły zwłoki jego raz ostatni na wieczny obok żony i syna spoczynek.

Dumania te moje, w opowiadanie dziś zamienione, nowem westchnieniem do Boga za duszę ojca Onufrego kończyły się, gdy echo uderzenia zegara na wieży boruńskiej oznajmiło mi północ. Wróćmy, pomyślałem, do miasteczka, złożmy znużoną głowę w kątku, w którym się tak spokojnie niegdyś usypiało, wezwijmy świętej Opiekunki lat dziecinnych, aby usunęła z powieki troski dojrzalego wieku!... obym usnął snem słodkim, snem łagodnym, snem studenta umiającego swą lekcję na jutro! snem, w którym ostatnia myśl wesółą zlewa się z pierwszym miłym marzeniem!

III.

Marzyć o przyszłości, czerpać słodycz z przeszłego szczęścia, jest to brać procent od kapitału szczęścia złożonego w sercu własnem. Życie ludzkie ubiega między wspomnieniem a nadzieją. Wspomnienie idzie za człowiekiem, zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru orzeźwiającego w nim siłę i cierpliwość na dalszą drogę: na przodzie nadzieja, unosząc w rękę błyszczące widmo szczęścia, ulatuje

przed człowiekiem, goni ją człowiek z całej siły, i gdy mu się zdaje, że ją dosięga, ona oddala się znowu jak cień fantastyczny, i człowiek goni ją znowu!.. Tak się przybywa na granicę życia; tu nadzieja odrywa się od ziemi, przebywa nagle tę granicę, i staje niewzruszona w wieczności; idzie tam za nią człowiek, a ludziom zostawia... wspomnienie!

Jakże czystem i miłym było to, do którego cofnął mnie ranek w Borunach! ranek to majowy, pogodny i cichy, lekkim tylko i wonnym chłodzony powiewem, któż nie zgadnie, że mógł być rocznicą nie jednej majówki, najweselszej chwili studenckiego życia. Życie to w całym swoim okresie nie jest wszakże najweselszem: praca nudna i przymuszona, posłuszeństwo bezwarunkowe, oddalenie się od najmielszych swoich, a zatem tęsknota i smutek, kara często niezasłużona, wszystko to daje dziecku kosztować jakby pierwiastków goryczy życia dalszego! Ale jak w dniu wiosny najposepniejszym jedno błysnienie słonecznego promyka rozpędza w mgnieniu oka chmury i rozwesela naturę, tak w wiosnie życia jedna chwila szczęśliwa pogrąża w niepamięć całą dotkliwą przeszłość; orzeźwia, unosi, swawoli w dziecku, szaleje w młodzieńcu!... Ach! czemuż tak nie jest w jesieni roku? czemuż tak nie jest w jesieni życia?

Majówka więc. O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczora zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze, ksiądz fizyk wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissimus fizyk! brat za brat z nami! On najlepiej wypuszczał długo-ogoniaste żmije, co dowodziło jak sam powiadał, jego biegłości w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek koźlistych, radząc zwijać je na gumielastyce; on nieraz wyprosił u księdza prefekta pardon dla rozbójnika, który z za płotu kamuszkciem lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadził. — Nie wolno, powiadał, żydom mosanie, jako nieprzyjaciołom patronki tego św. miejsca, mieszkać w Borunach, po cóż więc włóczą się po ulicach! drażnią tylko mosanie dzieci i nic więcej! Nie bójcie się chłopcy, jeszcze będziemy żydów na kamieniu przed szkołami mosanie plażyć; daj pokój, księżu prefekcie, to wyborny malec, dobrze się uczy, won żydzie z klasztoru! bo sam cię mosanie kijem wyłatam. — I sprawa skończona: cóż takiej przeważnej wymowie oprzeć się mogło, i co bardziej ująć dłań serca popolitej rzeczy? Otóż ksiądz fizyk odchodząc zmordowany całowieczną przepędzanką, spojrział na zachód i jakby od niechcenia rzucił

uwagę: jutro dzień piękny, wartoby dzieci o majówce pomyśleć. Ksiądz fizyk nigdy się w prorocztwie nie myli; jutro dzień piękny, więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z ichmość dyrektorów jej przewodniczy, i na niej jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacya, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: *Majówka! Majówka!* okrzyk się powtórzył na rynku: *Majówka!* Na to hasło, pan Kazimierz arcydobosz szkolny, wie co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben, i waląc weń co ma siły, maszeruje po całym miasteczku, za nim biegnąc liczna tłuszcza głaszy huk bębna nieprzestannem wołaniem *Majówka!* Zaś gdy zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrzypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele, i każdemu śni się majówka. Ledwo nazajutrz dzień zaświtał, leniwe w każdym innym czasie chłopcy na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochotnie z pościeli: każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne; wtem pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szóstoklasista, otoczony liczną asystencyą, wynosi z kaplicy

studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej, Bogarodzicy, bogato na białym atlasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki: a jak tłómaczył ksiądz profesor wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: „*Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!*“ a po polsku: „*ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!*“ Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena to nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą z radości, ztamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywego stroju skrzypiec i pomrukiwanie jakby godzącej te spory pocziwej basetli. Otóż wychodzi z kłasztoru sztab główny tej armii maroderów; ksiądz prefekt, naczelny wódz, i księża profesorowie otaczający go substytucji. Ogromnym palantem wywijając zręcznie fizyk, jak niezwyczajny na jenerała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pójdziemy, dzieci?“ — Do Giejstun, wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza! krzyczą inni: któż rozdzielone zdania zje-

dnoczy? tenże sam ksiądz fizyk, który i sprzeciżce dał powód. „Do Zahorza pójdziemy, księżo prefekcie! — Do Zahorza dzieci! już ja ręczę mospanie, że będzie tam dobrze!“ Wtem nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz.“ Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony ksiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: „*Ozdo bo twarzy, pokrętne wąsy*“*) a wszyscy chórem za nim; klarneckista zmienił nótę i dał ile miał ducha, skrzypak opuścił smyczek, a przeszedł na dyszkanta, organista podpierając się basetlą jak kosturem, pilował co mu się podobało! a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wąsów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi. Po wzgórkach, jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitych drzew i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległymi i okrytymi bujnem zbożem polami, w dolinach rozesłane; gdzie

*) Piosenka Książnina.

niegdzie małe szykowne wioseczki, rozłożystymi dęby i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stoletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach odbite, dróżki wąskie wijąc po wzgórkach i polach łączą sąsiadów, a strumyki z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach tu i ówdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainę, która całością zachwyca a szczegółami przynęca. Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz, i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg, wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych masach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzone we mgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia*), ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej, bieleją gruzy zamku i kościół**), siedlisko i grób Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś litewskiego hetmana, a przed nim jeszcze książąt Holszańskich; na koniec myśl, oko i wyobraźnia

*) Krew. **) Holszany.

unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mglistym i nieokreślonym błękicie.

Po tej to drodze, wysypawszy się z miasteczka ciągnęła czerń szkolna wesółym pochodem przez półtorej najmniej godziny, potem zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi blisko wzgórza dającemu się postrzegać; to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku, przy odgłosie samej tylko muzyki, prosto na dziedziniec; gdy się zbliżamy, widać zdaleka w oknach mnóstwo pięknych, świeżych, rumianych twarzyczek, wyglądających przez szybki ciekawie, jakby obrazki aniołów za szkłem w ramach: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki. Któż z moich kolegów nie przypomni, jak pocciwy staruszek rad był swoim gościom, jak się uwijał między dziatwą, jak poprawiając pasa na niskiej, krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał szeroką łysiną kłaniając się na wszystkie strony; za nim wysypuje się liczne grono mamuniek, i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzyczek różowych, napelniających pierwaj okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze!

Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem: A cóż, dzieci? nie mówiłem mosanie, że tu nam będzie dobrze? — he! Oj bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc Raducinę do blizkich dworów uwiadamiając mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc, kto się tam znajdzie, a zatem śmiało zareczał, że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumila wszelkich innych uczuć i myśli. Między gromadą siostrzyczek studenckich są i dla starszych panów dyrektorów ponęty; kilka dziewcząt co niedziela widywanych w kościele, a na których bliższy widok panowie dyrektorowie poprawiają chustek na szyjach i stroją miny zalotne. Nareszcie prefekt i profesorowie wchodzą do budynku, za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie, za nimi malcy, którzy tu rodziców znaleźli, na koniec muzyka i wszyscy, którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni, sute tam znajdują śniadanie; a tymczasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórza, na którym dom się wznosi, rozciągającą się i bujnemi brzozaami zrzadka porośłą, tak że i cień przed spieką w południe gotowy i miejsca na zabawę wystarcza. Tam się rozmierza *meta*,

obok wyznaczają place do *zajaca*, do *przepędzanki*, do *palanta*, indziej ściśle sadowi się koło i boleśna skreca się pytką na *szydło*; ówdzie usiedli gracze w *matony*, oh! to pewne kiedyś szulery! — tam wysypano przyniesione kęgle; ówdzie kupią się gracze w *ponę*! słowem każdy wybiera co lubi i od jednej do drugiej swawoli przebiega. — Pod drzewem w oddaleniu usiadło dwóch chłopców; nie dzielą oni powszechnej zabawy, ale szczęśliwsi może od innych, oni też używają serdecznej słodyczy, przypomnienia i nadziei! Na jednej urodzeni grzędzie, wychowali się razem na jednym dziedzińcu; rodzice ich bliziutęcy sąsiedzi, widzieli z pociechą zawiązującą się przyjaźń chłopczyków i z uśmiechem dozwolili Rózi, siostrzyczce Adasia, podzielać zabawki braciszka i jego przyjaciela Ignasia, to też Adaś i Ignas mają już swoją miłą przeszłość, wakacyę; rozpamiętywają o niej i wyliczają godziny, za którymi uśmiecha się znowu ich szczęśliwa przyszłość — także wakacya; a w jednym i w drugim obrazie Rózia, ich cacko ulubione, bawi się z nimi i pieści. Adaś kocha Rózię siostrzyczkę, Ignas kocha Rózię więcej niżeli Adaś, sam nie wiedząc jak i dlaczego! — Byłaby to już miłość? — nie jeszcze: jest to tylko instynkt czulego serca, objawiający wcześniej

przeznaczenie przyszłe człowieka! Czulość ta zapłonie kiedyś miłością, ogarnie potem całe jestestwo, przepali je, wytrawi w niem cały zapas namiętności i szczęścia i zostawi w sercu jak po wygasłym ognisku popiół i żuźle... Takież by miał być los Ignasia? Niestety! takim był rzeczywiście!!!

Po sutoem śniadaniu, wśród którego pan Bujnicki po kilkakrotnie z flaszką staruszki i sporym kieliszkiem przystępując do ichmość księży profesorów i prefekta, nie znalazł nigdy niegrzecznego odmówienia lub wstrętu, marcowy wdowczyk musnął się po łysinie i jakby odmłodził. Pan Dziewiałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza; chwycił skrzypce i urzwał poloneza: reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan huha! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczną. Działwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem, i zaczęły się tańce. Mamuniek i córeczek było wiele; było między kim wybierać! tańce więc szły hucznie i rzeźwo! ale jak wysmuklejsza lilia między towarzyszkami, tak między wszystkimi jaśniała panna Katarzyna, hoża, ładna i wesola dziewczica. Emulacya wyraźna objawia się między panami dyrektorami, gdy ją przyszło brać do tańca; na wyścigi i hurmem biegli oni po jej rączkę,

a którą niestety! najczęściej piastował pan aplikant z Oszmiany, jak na nieszczęście tu przybyły, śmielszy, bo niedbający o księdza prefekta, i niegodziwy, bo wyszydający śmieszność studenckich zalotów. Po kilkunastu polonezach, odbijanych i nieodbijanych, panna Katarzyna na zgrabnym staniku opasawszy różowy fartuszek, stanęła do kozaka, w niedostatku równej partyi mały jej braciszek stanął naprzeciw za figuranta. Sama jedna więc Kasia powszechną zajęła uwagę: wszyscy kołem otoczyli dziewczynę, księża postawiali na stoliku niedopite lampeczki trójniaku i ciekawe na środek pokoju obrócili oczy. Z rzeźwą, wiejską, niewymuszoną wesołością wbiegła dziewczyna w koło i w różnych podskokach od końca do końca przelatywała pokój, fartuszkem swym raz zakrywała figlarne czarne swe oczy i mocniejszym rumieńcem okraszane jagody, to znowu chłodziła się jakby szeroko roztoczonym wachlarzem, to zwijając go zręcznie, piękną zeń i zalotną koło siebie tworzyła szarfę. Bravo! bravo! wołali wszyscy klaskając z zapalem w dłonie; *bravissimo!* krzyczeli młodszy i zapaleńsi czciciele wdzięków panny Katarzyny! *bravissimo in superlativo gradu!!* wrzeszczał pijany pan Dziewiałtowski, pochyliwszy brodę i aż głowę położywszy na skrzypcach, na których rznął

zamaszysto kozaka; nakoniec tancerka wykrećwszy na środku smagłego młynka, dygnęła z wdzięcznym uśmiechem całej kompanii, i osypana oklaskami, pobięła spocząć w drugim pokoju. Zachwyceni i zakochani panowie dyrektorowie poszli za nią; tam się każdy wysadzał na pochwały i komplementa. Pan Mateusz przez cały czas tańców przemyślał coby pięknego miał powiedzieć pannie Katarzynie; tłómaczył on już Telemaka, czytał nieraz Gonzalva z Korduby i Numę Pompiliusza, ale żadnym sposobem nie mógł nic przypomnieć ani przystosować do pięknych oczu Kasi, a natomiast te nieszczęśliwe wypisy na klasę pierwszą, które codzień z uczniami swymi repetował, plątały mu się gwałtem po głowie: „*Parentes carissimos habere debemus*“ i znowu i zawsze „*parentes carissimos* i t. d.“; obronić się od tego nie mógł! Cóż począć? nagle wyborna przychodzi idea. Położywszy, pomyślał pannę Katarzynę w liczbie pojedynczej na miejscu *parentes* i wytłómaczywszy to na język polski, będzie wyśmienita lokucya! Przystąpił więc uradowany pan Mateusz do Kasi, i uchyliwszy czoło jakby się do boksów gotował, rzekł: „pannę Katarzynę za najmilszą mieć powinniśmy,“ wziął razem piękną jej rączkę i już do ust podnosił, gdy niezbożny zdrajca pan Hyacynt, aplikant z Oszmiany,

szepnął nagle z tyłu: „ksiądz prefekt idzie!“ Upuścił rękę kochanki i odskoczył zmieszany pan Mateusz... księdz prefekta nie było, pusta dziewczyna rozśmiała się na cały pokój i uciekła do ogrodu, za nią pobięł pan aplikant, a pan Mateusz opuszczony i zaambarasowany, stał i nie umiał z miejsca się ruszyć; nakoniec przyszedłszy do siebie i przypomniawszy aplikanta: „ośle przeklęty!“ pomruknął zapalczywie, ale tymczasem aplikant już był z Kasią w ogrodzie.

Tak dzień przelatywał wesoło; gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanią wychodził do gaju, tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanawszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznymi byli. Pan Bujnicki szanował i jednał sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków; była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich z równą jak pan Bujnicki rozkoszą i chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagabnąć którego malca o panu szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sej-

mikowy! w długich stodołach i odrynach ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodziną swawolą, wilczy! Lecz harmonia i zgoda przy piłce, szydle i kręglach pomieszała się przy miskach i garnkach: kłóca się, wrzeszcza, odbierają sobie łyżki, rozlewają sobie mleko i biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo pan szambelan poprowadził księży i starszyznę na podwieczorek, na mleko zaś w odrynach została luźna hołota.

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwejbaczkami ocukrowanymi, których mamunie kupami nawiozły, i których większa część w profesorskich potem osiadła celach, zasila uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienienia statystów; smakowite kożuszki łagodzą figle trójniaczku, nim go w powrocie chłodny wieczorny wietrzyk do reszty nie wywieje.

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca, zatem na skinienie księdza prefekta dano niespodzianie hasło w taraban. — Ach! ach! krzyknęły przyleknione damy. — „Czas wracać“, rzekła smutno dziatwa, i gromadziła się około chorągwi wbitej na środku

dziędzińca, na który i cała kompania wyszła z pokojów. Rozpoczęły się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony — chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowały braciszków, panowie dyrektorowie zbliżali się do panny Katarzyny, jeden tylko pan Mateusz stał od niej zdaleka... Ten pan Mateusz był to poeta szkolny, nie wiem jak go potem na świecie Apollo sekundował, ale w szkołach, on wszystkim na potrzebę komponował wiersze, on układał oracyę studentom jadącym na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc do rodziców; księża profesorowie nawet do niego się udawali czasami, gdy któremu pegaz zachromiał. Mógłże on znieść cierpliwie konfuzyę od aplikanta wobec kochanki sobie zadaną, on poeta? *Genus irritabile*? Miłość i zemsta, dwie najgwałtowniejsze namiętności serca ludzkiego, bez których ani romansów, ani tragedyi nie byłoby na świecie, nie dały kosztować panu dyrektorowi ani pokoju, ani powszechnej wesołości, ani podwieczorku. Chodził on po gaju i dumiał, niekiedy mruczał, rozliczał palcami sylaby i średniówki, nakoniec pobiegł do stancyi ekonoma i tam z regestrów wydarłszy kartę, napisał prędko co wydumał i wsunął kartkę za nadrę... Miłość

i zemsta we czterech wierszach! wielkiż poeta z pana Mateusza!!! Gdy więc szły pożegnania, a pan Mateusz stał zdaleka, Józiu, braciszek panny Katarzyny, porwał ją za rękę i ciągnąc do ogródka: „chodź, chodź, Kasiu, mówił z cicha; mam do ciebie wielki interes!” — „Cóż takiego? pytała niechętnie oderwana od kompanii panna Katarzyna, mów prędzej.” — „Na! masz, rzekł figlarny chłopiec wciskając jej w rękę kartkę papieru: „masz to od pana dyrektora, czytaj!” — i uciekł. Ciekawa dziewczyna rozwinęła kartkę i przeczytała takie wiersze:

„Ani Wenera, ani Prozerpina
 „Nie jest tak piękna, jak ty, Katarzyna!
 „Wartaś miłości i ślicznego kanta
 „Od samego Jowisza, nie od aplikanta.“

Zarumieniła się Kasia, schowała prędko kartkę do woreczka i wyszła z ogródka. Wtenczas zbliżał się po raz kilka do niej pan Mateusz, ale ona tak zawsze stawiała obok mamy, że słowa do niej przemówić nie mógł. Tymczasem pan Kazimierz bił na zabój w bęben, zabrzmiał marsz, ruszyła zatem chorągiew za bramę, a za nią wszyscy. Jednakowoż panna Katarzyna miała czas chwycić Józia za rękę i szepnąć mu do ucha: „dowiedz się, Józiu, jakkolwiek od swego dyrektora, kto jest panna Prozerpina i czy daleka mieszka? a powiesz

mnie jak przyjedziesz na wakację: pamiętaj, Józiu! panna Prozerpina.” — Kasia bowiem tak rozkalkulowała sobie wierszyki boruńskiego poety: „O Wenerze wiem, bo to jest w kilku pieśniach światowych: była ona niegdyś jakąś boginią — Jowisz?... ponieważ pan Hyacynt jest aplikantem Jowisza, więc Jowisz musi być mecenasem w Oszmianie; ale *Prozerpina*? to sęk; pewnie to jakaś ładna panienka, a może i mężatka... dowiem się o wszystkim przez Józia.“

Gdyby Kasia trzydziestą laty później się urodziła, gdyby w dzisiejszych czasach w świetnych pensyonach naszych brała wychowanie, w dwunastym roku wieku swego wiedziałaby, kto Jowisz a kto Prozerpina, i gdzie oni mieszkają; tańczyłaby z prześlicznym wymuszeniem kontradanse, ale... czy byłaby tak czerstwą i wesołą dziewczyną? czyby tak rzeźwo i zręcznie wyskoczyła kozaka?

Wracamy więc; rój nasz około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym, gęstym i szumnym posuwa się kłębem, reszta odlotków długiem po gościńcu ciągnie się pasmem, i odstrzela się pojedynczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na

nim jak na tle czarnem odbite gmachy białe kościoła, klasztoru i wież boruńskich dokończony od razu a poważny i uroczysty dają obraz. Gdy daleki wędrownik do Borun, z pobożnem i religijnem uczuciem, zbliża się tu z pokorą i nadzieją cudownej łaski i pociechy w smutkach i utrapieniach, lub po największe dobrodziejstwo w dolegliwościach ciała, po zdrowie, przedstawujący się mu natenczas z tej góry we wspaniałym i smutnym razem obrazie cel jego drogi pokrzepia mu zapewne siły i czułą ufnością napełnia serce. My bez żadnego względu, z jednostajnym wesołym odgłosem, schodzimy z góry i zbliżamy się ku Borunom: lecz tu raptem hałas na przodzie ustaje, a w tylnej straży p większa się gwałtownie: dwa przeciwne zjawiska razem na obu przeciwnych ukazały się stronach. Obudzona naszym marszem, odpoczywająca w krzakach przy drodze po nowym kursie po dworach okolicznych i po sutych traktamentach Raducina ukazała się nagle chłopcom, z których jeden zostawszy zajacem, wodził za sobą po zaroślach docierających gęsto kilkunastu strzelców. Nagle i zwierzyna i myśliwi zaczęli uciekać do gromady, a za nimi wyszła na drogę z wielką zieloną gałęzią w ręku czarownica. — „A czegoż uciekacie? czy to mnie nie poznaliście?“

wołała ona. „Jasiu! Leonardku! Antosiu! a wiecie, wy kto wam mamunie i siostrzyczki do Zahorza sprowadził? Moje to stare nogi przez noc całą mordowały się za tym interesem. Ksiądz fizyk powiedział: marsz Raducina! i Raducina nogi za pas i marsz! a wy krzyczcie na mnie jak na hamana! poczekajcież!...“ Pędziła więc przed sobą baba, wywijając gałęzią jak miotłą czarowniczą, zgraje maroderów uciekających z wrzaskiem; lecz wkrótce zwolniła kroku, poczuła bowiem niepewność w nogach i zawrót niejakiś w niewyspanej jeszcze głowie: podpierając się więc tąż samą brzezina, wlokła się z tyłu za nami, słaniając się po trochu i wyśpiewując piskliwie, jakby nas do powrotu napędzała: „Pójdźcie! pójdźcie! gąski moje, do domu.“ — O kilkanaście kroków od drogi, na stoku wzgóрка, jest, cmentarz wiejski kilką krzyżami i mnóstwem płyt kamiennych jakby z ziemi wyrosłych uderzający, a kilką staremi sosnami ocieniony; miejsce wiecznego spoczynku poczciwych naszych boruńskich gospodarzy, a kiedy niekiedy i młodego chłopca kończącego śmiercią naukę! Miejsce to nie odmieniło się i teraz bynajmniej: pomnożone tylko głązy i krzyże świadczą coraz liczniejszych do ziemi przybyszów, a też same, i ani jedną gałązką nieuszczuplone jodły żyją tam wśród powszechnej

martwości, żyją jakby na przekór śmierci w jej własnym domu, i ssąc jak upiory zastygłą krew cudzą na własne soki, długo jeszcze żyć będą i przyjmować codzien pod swe stare konary zmarłych boruńskich mieszkańców!!! Pod jedną z nich ojciec Onufry pogrzebał syna i żonę swoją; dlatego co wieczór, gdy dzwony z wieży kościelnej głosiły godzinę zadusznego pacierza, obaczyłbyś między głazami cmentarza klęczącego na ich grobie i równie jak głaz niewzruszonego, tego nieszczęśliwego ojca i męża. Chwila powrotu naszego z majówki zbiegła się właśnie z chwilą modlitwy pustelnika, i jedna drugiej ujęła gwałtowniejszych wzruszeń: w płaczu i śmiechu jedna złagodziła drugą; pustelnik otarł łzę postępując ku zbliżającym się swym przyjaciółom, studenci poprzestali hucznego śpiewu widząc łzę nieszczęśliwego swego przyjaciela. Powitany więc serdecznie, złączył się z nami ojciec Onufry i postępowano dalej... aż przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; natenczas dziatwa złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana tłuszcza rozsypała się po kwaterach, księża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych, pustelnik szepcąc pacierz wieczorny

przeciągnął powoli po ulicach, zmierzając ku swojej chatce, i gwar ustawał ciszej i coraz ciszej; aż nakoniec noc piękna majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

IV.

Kościół i szkoła, są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czyśca, jak pogoda do słoty, tak się ma jedno do drugiego, zwłaszcza w Borunach, gdzie gmach kościoła wspaniały zewnątrz a ozdobny wewnątrz, zawiera wszystko co oko i umysł dziecka zdumieć i przywiązać może. Gdy brzmienie dzwonów ranne, niedzielne, zapowiada studentom dzień odpoczynku i zabawy: to w każdy inny dzień powszedni dzwonek szkolny przeraźliwym brzękiem, jako swarliwy gdera budzi ich ze snu miłego, i po dwakroć powtórzoną rzędą pędzi do kłopotów i pracy. Gdy w uroczyste święta kościół się ubiera wspaniale, gdy przyzywa dzieci do posługi u ołtarza, gdy je obleka w piękne białe komże, jako w szaty niewinności i wesela: szkoła natenczas, jak złośliwy zazdrośnik, zamyka drzwi swoje i czeka w milczeniu końca uciechy, aby ich znowu ogarnąć i gnębić; w kościele

hymny i pieśni chórem hucznym powtarzane, miłe sercu i uchu studenta, bo im echo z domowej, przedszkolnej jeszcze odzywa się bokówki: w szkole płacz powszedni codzien, a arcyplacz co sobota! W szkole za piecem na pieńku, z groźnem okiem z dyscypliną w rękę, *strach*, starzec nieznosny, wychudły, na łzy chciwy, na modły i prośby nieczuły! biada gdy on swój pieniek na środek szkoły wytoczy, biada natenczas, biada!!! I nakoniec, dla dokonania i usprawiedliwienia niejako tej różnicy, oczekiwany utęskliwie przychodził w końcu czerwca Piotr święty, i w jednejże chwili kluczami swymi zamykał szkołę, a otwierał studentom drzwi kościoła, na uroczyste podziękowanie Bogu za przebycie i dokończenie pracowitego terminu nauki i na publiczny z niej popis, a potem puszczał ich wszystkich do raję, to jest na wakacyę do domu. Toteż w peregrynacyach moich po miasteczku oziębłe minąłem opustoszały dom szkolny, trąciłem nogą, jakby wyschłą czaszkę głowy nieprzyjaciela, spadły na ziemię i walający się na dziedzińcu wyszczerbiony dzwonek, a poszedłem wnet do kościoła, abym zakończył wspomnienia dziecinnego wieku tam, gdzie też i sam wiek dziecinny zakończył; gdzie złożywszy dowód niby doskonałości w naukach, student wyzwala się na

młodzieńca, bierze błogosławieństwo kościoła, życzenia nauczycieli, i z ciasnych drózek szkolnych wychodzi na szerokie rozdroże świata... Rozpamiętywając akt ten publicznego popisu i pożegnania szkoły, stajemy na granicy jednej najpięrszej części naszego życia, którą przechodzimy z niesmakiem, kończymy z radością, a jednakże wspominamy z tęsknotą, i ubiegłej zazdrościm!

Wspaniała nawa boruńskiego kościoła w dniu pożądanym 29-go czerwca napelniała się około nieszpornej godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu nawet. Obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszków, na wesołych główkach młodych mamunięk, lub młodszych jeszcze siostrzyczek, obaczyć można było gredyturowy kaptur, lub nastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwem i rumianem licem pani ekonomowej; obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratatki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin po paniczów przysłany... W ławkach po prawej stronie i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzeseł umieszczał się ten tłum różnowzory; babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki

na przodzie: dziadulkuwie, ojcowie, wujaszki i stryjaszki z tyłu. We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się na przeciw publiczności, a tymczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i baterię butelek lejdejskich; ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erasty*, wyformowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyi* z koperdymentami, mającemi potem w ramkach i za szkłem figurować na ścianach domowych, jako pamiątki talentów szkolnych; kładzie księgę złotą, zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową... świat! Nakoniec wszystko się uszykowało, i wszystko pójdzie jak z płatka, bo całe programma już kilkanaście razy przepróbowane. Więc na skinienie z dołu, symfonia studenckiej muzyki na chórze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkimi językami witają publiczność! Ach! czemuż tych oracyi nie pamiętam! jakież wymowny i rozmaity appendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatulka poznałbyś czyj syn oratorem.

Rozniesione wnet potem i rozdane jakby kwiaty z kosza koperdymenta zajmują bardziej pleć piękną, niżeli całe popisy; ta dostała różę rozkwitłą i wielką jak talerz, tej przypadł tulipan błyszczący jak dzbanek ze złota, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z całym koszem kwiatów na kapitelu: u tamtej kupidynek mierzy strzałą do ogromnego rycerza, u którego godłem na tarczy napis: Kwestye szkoły boruńskiej na klasę V-tą. — Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaiku nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach i równyż talent w wykonaniu!!! Zaproszeni na egzaminatorów pan podkomorzy, pan szambelan i pan budowniczy wystąpili na środek; nie byłoby żartów z tymi panami, gdyby oni alwar swój przypomnieć chcieli: ale mając kwestye w ręku nie sądzili przyzwoitem ambarasować uczniów i nauczycieli innemi pytaniami, które, któż wie, jakby się powiodły: na zadane zaś z pisma odpowiadano wyśmienicie, bo nieukom w wigilią wyjechać dozwolono. Szedł tak popis klas pierwszych z pochwałami sypanemi szczerze każdemu chłopcowi i przedłużałby się dalej, ale stojący przy swojej elektrycznej machinie ksiądz fizyk zniecierpliwiony zawołał: „Klasa czwarta mo-

sanie z fizyki! Co to jest piorun? — odpowie pan Leonard“. — „Piorun, odpowiedział głośno i śmiało pan Leonard, jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska.“ — „Brawo! wyśmienicie mosanie! a zatem proszę do maszyny i zrób nam wasan piorun mosanie!“ Powszechna protestacya przeciw temu eksperymentowi objawiła się w damach, ale świadomsi rzeczy egzaminatorowie ośmielili wszystkich, i pan Leonard pokręciwszy przez kilka minut banie, nabił baterię i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył a wszystkich zabawił. „Pan Ksawery powie nam mosanie o balonach“ odezwał się znówu ksiądz fizyk. — „Wielki ten wynalazek“ —... na złamanie karku, przerwał ktoś z tłumu — ksiądz fizyk spojrzał ostro w tamtą stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy, a pan Ksawery niezmiuszony historię i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności. — „Teraz z matematyki,“ zagadnął pan podkomorzy, podobno dla honoru urzędu swojego. — „Ale mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umieją upewniam!“ — „To się znaczy o elementach“, odezwał się pan szambelan. — O jakich elementach mosanie? nie masz już elementów, skasowano je. — Jakto skasowano? w imię Ojca i Syna! któż, chyba sam Pan Bóg. — Nie mosanie,

pan Lavoisier, jak zaczął rozbierać po jednemu, przyszło do tego że i żadnego nie zostawił, a natomiast mosanie wynalazł kwas...“ — Zwaryowałeś, księżu fizyku! co gadasz! rzekł zadziwiony pan szambelan, i zająłoby mogło na wielką dysputę, lecz z nienacka trzecio-klasista przy tablicy wykrzyknął cienko a dobitnie: *Centum bovum!* — „Masz, panie szambelanie, rzekł uśmiechając się ksiądz fizyk, masz alimenta, *centum bovum*, sto wołów, a to na kwitę za elementa; *litera nocet, litera docet* mosanie a powtarzam panu, że elementa skasowano.“ — „Proszę uniżenie! do czego to przyszło, mruczał pan szambelan, na miejscu elementów... kwas!...“ „Kwadrat z przeciwprostokątnej równa się dwóm kwadratom z dwóch innych boków“ itd. wrzeszczał tymczasem malec i zwrócił przeciw uwagę na swoje stronę. Tam przebiegano a raczej prześlizgiwano się lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyi wierszów i prozy z celujących naszych ośmnastego wieku autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie opisanie obleżenia Troi, piramid egipskich, ogrodów babilońskich i urodzajów assyryjskich! jakim podobnych że nigdy w Litwie nie było, przyznali zgodnie słuchacze. Był na placu i globus! a pośrednie między geografią a astronomią trzymając miej-

sce, kolejną dla pierwszej lub dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice. Powstał nakoniec ksiądz prefekt i roztworzywszy księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisanych w niej imiona celujących w każdej klasie uczniów i promocye ich do klas wyższych. Nie wiem jak to się zdarzało, że synowie obecnych na egzaminie rodziców najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjaśniały się twarze rodziców i synków radością niewymowną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugim, lecz subordynacya szkolna, równie ścisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia parady. Lecz zostaje jeszcze mowa — mowa to pożegnalna, do której występuje uczeń kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mówcy i szkole. Sam ją niegdyś dla siebie w pocie czoła układałem i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona, tak jak i inne podobne kolegów moich, 1-ód wyrażenie wdzięczności dla nauczycieli, 2-re pożegnanie kolegów, 3-cie filozoficzne myśli o marności świata a o wielkiej ważności nauk; 4-te o Arystotelesie nauczycielu Aleksandra Wielkiego, i nakoniec 5-te uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności sobie i całemu prześwietnemu publicum. Po skończeniu tego

arcydziela elokwencyi ruszano się z miejsc... Wtem wśród huku trąb i kotłów opadła zasłona ołtarza i obraz cudowny Matki Boskiej w świetnej gwiazdzie z drogich kryształów i kamieni zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały napełniający świątynię upada na kolana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani, pospólstwo, ubodzy napełniający kruchę, wszyscy pokorne do ziemi schylają czoła, natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występują z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dźwięcznych a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus!!!* etc. Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się natenczas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców! matek i dzieci! Śpiew się ukończył; chwila potem cichej powszechnej modlitwy; aż znów!... zwolna podniosła się zasłona i zakryła obraz. Podniosło się więc razem i zgromadzenie, na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa i zupełna z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrzmiął nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kwalkata cały napełniała rynek. Pożegnania się kolegów, bardziej szumne niż tkliwe, gwar powszechny

tak liczego zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienie wykrzykiwania płci pięknej, wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz która całymi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu i coraz wolniejszym zostawiała samo tło onego, to jest rynek boruński. Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpięchło strony, a rynek został pustym i głuchym tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja oparty o drzwi kościoła stoję samotny i okiem mej duszy widzę tu rozsypanych przedemną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil dni moich dziecinnych. Gdzież są oni??? *gdzie są moi współwędrowcy...?*)* ach! trąba już chyba Archaniola zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś, dla wydania ostatniej pensy przed wielkim Audytorem całego świata!

*) Zaleski. — Duma ukraińska.

Śmierć mojego dziadka.

Woda w górę nie popłynie,
Co dziś świeci, jutro zgaśnie!
Przeminęło, mija, minie,
To ludzkiego życia hasło!!!
Lecz nie minie wiecznie żywa
Święta przodków naszych wiara,
Nie minie mądrość prawdziwa
I poczciwość nasza stara!

Ignacy Chodźko

Uroczyste święta nasze są to corocznie wracające epoki domowych dziejów naszych. Zebrania natenczas i odwiedziny krewnych, odległych przyjaciół i sąsiadów, podczas których połączone w jedno grono przywiązane do siebie osoby wylewają się na wzajemne dowody serdecznych ku sobie uczuć, zupełne uwolnienie się od prac i zajęcia codziennego a oddanie się wypoczynkowi lub rozrywkom właściwym każdemu wiekowi, weselość szczerą i poufałą, panująca w domu obejmującym naówczas to miłe zgromadzenie, przemieszane pospolicie gromadą dziatwy, która jakby małe

ogniwka, łączya większe pierścienie familijnego wienca; a cała ta szczęśliwość i swoboda obleczona uroczystym i bogatym płaszczem religijnych obrzędów, wszystko to głęboko się wpaja w wyobraźnię i niezatarte zostawia rysy w pamięci!

Cóż dopiero, gdy, jak to najczęściej bywa, łączą się razem wspomnienia szczególniejszych wypadków życia naszego, w dniach takich zdarzone? Śluby małżeńskie, wesela, przenosiny, zaręczyny, lub nawet pierwsze poznanie się i pierwsze miłosne wrażenia młodych serc, połączonych potem lub rozdzielonych na zawsze, lecz nie mogących zapomnieć chwili, w której pierwsze tkliwe odniosły wrażenia?

My jednak zapominamy już tego sposobu obliczania się z czasem. Oznaczamy wszystko na proste daty; lecz pasmo życia ojców i dziadów naszych, pospajane w główniejszych punktach z religią, miało w sobie niejakąś patryarchalną świątobliwość i cnotę. Żadna burza życia nie mogła zepchnąć go na bezdroża, tak jak najmocniejszy wichur nie zdoła oderwać i rzucić na wiatr pnącej się rośliny, mdłej, ale uczepionej gałązkami do skały!

Ileż to razy usiadłszy w sadzie pod rozłożystą gruszą, lub na ulubionym pod krzakiem kamieniu, dziadunio mój rozpowiadał mi do-

mowe dzieje spokojnego swego żywota, licząc je na święta kościelne? „Rodzic mój nieboszczyk, a twój pradziadulek, Panie świeć nad jego duszą, mówił on, umarł w zgrzybiałej starości na *Różańcową*. Bóg mu zapewne dał ten termin za to, że codzień różaniec święty nabożnie odmawiał. Matki mojej nie pamiętam, odumarała mnie w niemowlęctwie. W lat dwa po śmierci ojca, gdy macocha moja zabrawszy swoją substancję i przemyśliwając *circa renovationem connubii*, wyniosła się ode mnie, zapoznałem się na *Zielone świętki*, jak dziś pamiętam, w domu nieboszczyka podstolego smoleńskiego, z moją pierwszą żoną, która także w Bogu spoczywa, a natenczas panną Bogumiłą, siostrzenicą gospodarza, podczasanką ziemi nurskiej. Skłoniłem ku niej moje afekta, i tak nad podziw szczęśliwie poszło, że za błogosławieństwem Boskiem i rodzicielskiem nastąpiły wnet i zaręczyny. Pan podczaszy, przyszły teść mój, wielki sensat, łacinnik, upodobał mnie od razu. „*Est facies testis, quales intrinsecus estis*“ — z twarzy znam cię żeś poczciwy, powiadał on. Podstoli wyprawił suty bankiet, akt zaś weselny odłożono pod jesień na święty *Michał*, na dzień patrona pana podczaszego. Na bliższy termin nie zezwolił, chociaż ja usilnie o to błagałem.

„*Nemo sapiens, nisi patiens*, panie zięciu!“
mówił on i dodawał nadto:

„Bywaj gościu u mnie,
Kiedy żytko w gumnie!

Chudoba moja szlachecka nie wytrzyma bez sukursu jesiennego licznej weselnej frekwencji, i waszeć panie zięciu lepszego piwa nawarzysz, kiedy z własnego, a nie z pożyczonego jęczmienia.“ Musiałem tedy, *volens nolens* przystać.

Rozmaite potem ludzkie *calumnie i perversie*, o których żał wspomnieć i którym, pamiętając nań „odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ dawno już przebaczyłem i zapomniałem, przeciągnęły nasz ślub aż do *Trzech króli*; bo na *Boże narodzenie* kościół św. ślubów zabrania. Natenczas teść mój powiadał:

„*Praedestinata neminem fallunt.*
Co się przewlecze, to nie uciecze“.

Jakoż i nie uciekło; pobraliśmy się szczęśliwie. Ksiądz przeor Karmelitów głębockich, odspiewawszy kolędę „*Exultemus et laetemur!*“, wziął za asumpt do perory przedślubnej też same słowa, i komparując potem gwiazdę, która trzech króli do Betleem przeprowadzała, z gwiazdą moją fortunną, która mnie w progi pana stolnika zawróciła — wróżył stąd dla nas *in futuris* wszelkie i szczególniejsze sukcesa i *konjunktury*. Pobłogosławił nam

potem, a chociaż te prorokowane szczególniejsze sukcesa nigdy nam nie wypadły, wszelakoż cieszyliśmy się na weselu, cieszyliśmy się tutaj na przenosinach, a dzięki Bogu cieszyliśmy się i potem przez lat trzydzieści, w jedności i zgodzie naszego małżeńskiego pożycia. Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilię *Zwiastowania Panny Maryi*, więc i daliśmy jej imię jakie sobie przyniosła, *Maryi*, polecając ją szczególniejszej opiece Matki Boskiej!“...

Niemile potem wspomnienia zasepiały czoło staruszka. Śmierć ukochanej pierwszej żony, której tem więcej żałował, że i sam po jej zgonie w lat kilka postanowiwszy *renovare connubium*, trafił na zrzędnicę, która mu kilkanaście lat życia zatrula, i o której dobrze wspominać nie mogąc, a źle wspominać nie chcąc — żadnych uroczystych dat nie zachował w pamięci. Nie wspominał także przedemną najboleśniejszego ciosu w życiu swoim, utraty córki jedynej; bo wiedział że wzbudziłby w mem sercu dziecinnem, ale przywiązaniem do matki, gorzki żal, i obaczyłby łzy rzewne na twarzy, na której wesołość i ciekawość w przysłuchiwaniu się rozpowiadaniom swoim widzieć lubił. Więc pomilczawszy trochę, wzdychał mój dziadunio głęboko, kiwał głową i kończył na — „Oj! tak to było, moje dziecię!“

tak! tak!“ — A po nowej pauzie dodawał: — „Wkrótce podobno przydacie sumę do tego rejestru mojego życia, to jest datę końcową:

Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka!

Cóż robić! ośmdziesiąt szósty rok wkrótce zakończę. „*Fiat voluntas tua Domine*“. O mój Boże, daj mi przed Majestatem Twoim połączyć się z tymi, z którymi na tym padole płaczu sercem i duszą złączony byłem!!!“ Tu ręce i oczy ku niebu podnosił pocziwy starzec, którego życie opisawszy*), śmierć teraz szczęśliwą, spokojną i chrześcijańską opisać pragnę.

Przeciągłe brzmienie dzwonów blizkiego parafialnego kościoła, rozlegające się letnim pięknym wieczorem po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zazwiasowało uroczystość Bożego Ciała na-
zajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój wywlókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi, z izby pod krzyż i tam siedząc szeptał swoje modlitwy; ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając aż zacznie litanią kończącą zwykle wieczorne pacierze. — W tem echa niespodzianym dźwiękiem uderzyły nam

*) Domek mojego dziadka.

w uszy!!! Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktownie rękę do przeżegnania się — zatrzymał ją potem nad czołem... Ja zdziwiony wzrok mój ciekawie nań obróciłem. Po chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio, i rzekł powoli a spokojnie: „Jutro!... tak po mnie zadzwonią!!!“ — „Jak to kochany dziadunio?“ rzekłem mocno wzruszony; „dziadunio dziś masz się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci!“ — „Moje dziecko, w moim wieku już nic nie wraca się człowiekowi, co odeszło!... umrę jutro!“ — I podnosząc głos dodał: „Bóg mi to objawił!!!“ — „Kiedy?“ zapytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie mój kochany wnuku!

— Ja nie nie widziałem, dziadunio! — rozumiałem bowiem, że to było widocznie cudowne objawienie, o jakich nie raz mi rozповідаł. — Nie rozumiesz mnie, moje dziecko! cóż ja jestem? marny zlepek gliny! czyliżem godzien aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie, moje dziecko! Ale ledwom zaczął modlitwę na uproszenie szczęśliwej śmierci, uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie, że to jest *praesagium* szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich! O, gdyby jeszcze w czasie tak wielkiego festu jak jutrzejszy, Bóg mnie przed swój Majestat powołał, uznałbym wyraźne miłosierdzie jego

nademną!!! Zmówmy, moje dziecko, razem na moją intencję modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę! —

Nie znałem ja natenczas, bo nie doznałem był jeszcze, że są w życiu ludzkim wieszczę przemknienia myśli, które nazwaćby można *błysnieniem przewracającej się karty w księdze przeznaczeń naszych!* Przeczucie instynktu? czy objawienie? — jakkolwiek to uważać czy mianować mamy, zawsze znajome są one każdemu, bo któż ich w chwilach niepewności, trwogi, nadziei, a nawet w chwilach zupełnej spokojności duszy nie doznał? Szczęśliwy, ktoby tę kartę tak podjętą mógł zatrzymać i przebiec! ktoby przynajmniej przestrożę tę w przelocie pojmać i w pamięć swą wpoić zdołał! Ale nie! kartę przeznaczenia w mgnieniu oka się przewraca, myśl prorocza mignie jak błyskawica i ginie jak błyskawica!!! a powraca przypomnieniem natenczas, kiedy się wyrok już ziścił.

Kończyliśmy modlitwy, gdy zbliżył się do nas pan Jakób.

Człowiek ten należał do licznych jeszcze natenczas, a dziś wygasłego zupełnie bractwa rezydentów i dworaków, rozsypanych gęsto po kraju, których, jako wchodzących w skład

nie jednej szlacheckiej ziemi i nie jednego obrazu tamtoczesnych domowych obyczajów, wprzód ogólnie i całemu bractwu właściwe wspomnę przymioty, nim jednego z nich, pana Jakóba, towarzysza ostatnich lat życia mojego dziadka, dam poznać.

Dzielili się rezydenci stosownie do wewnętrznego swego powołania i posiadanych talentów, na *myśliwych, rybaków i masztalerzy*; skrzypeczka, nie stanowiąc oddzielnego fakultetu, do każdego składnie przypadła i zwiększała zaletę i wesołość dworaka. Każdy z nich, posiadając wszelkie doskonałości swojej profesyi, miał jeszcze, jak to wyżej nadmienilem, reguły i zasady, jakby dawnych rycerskich zakonów, całej kongregacyi wspólne, to jest: ochotę do nieustannej włości, póki zdrowie i własne, lub darowanego konika nogi służyły; nienawiść do ciągłego zajęcia się i pracy, nakoniec większy lub mniejszy pociąg do *aquaeuity*. Wdowcy bezdzietni, lub starzy kawalerowie, nie mieli oni pospolicie żadnych ścisłych związków ani obowiązków. Każdy dom szlachecki był dla nich familijnym, bo wszędzie chleb powszedni i kąt opiekuńczy z ochotą dla nich otwarty znajdowali. Owszem, w czasach gdy każdy gospodarz pilnując własnej grędy niewiele zewnętrznych miał stosunków i związków, zbieracz taki i rozwozca

nowin, wiadomostek, anegdot, *dykteryjek*, przybywający z życzliwym sercem i z wesołym humorem do domu, zawsze pożądanym był gościem i zaraz poufałym stawał się domownikiem. — Wreszcie przywiązanie szczere do rodziny, około których się żywili, i pocztliwość prosta, nieinteresowana, zalecała ich wszystkim. Niewiele żądali, bo wszystkie ich konieczne potrzeby życia, bez pracy i kosztu, bez prośb nawet, ludzkość i dobroćliwość staroświecka ojców naszych opatrywała. — Wszakże w przypadkach tyczących się ich szczególnych talentów i profesyi, dozwolali oni sobie niekiedy małych wyboczeń od ściśle sumiennej ścieżki. — I tak: nieraz po wizycie myśliwca zginął z psiarni dwornej sławny w całej okolicy *Szumlas* lub *Zagraj*, a gonił potem zająca o mil kilkadziesiąt. Nie raz młody panicz przepłaciwszy lub wyhandlowawszy wielkim przypadkiem zachwaloną kaselkę, na pierwszej zaraz ochocie chybił celu i zwierzyny, a zatem poznał z żalem i szkodą własną wartość i rzetelność zaręczzeń pana Piotra lub pana Grzegorza. Po takich jednak figlach tęsknił każdy za powrotem starego franta, bo bez niego polowania nie miały zapachu, obławy porządku, a najbardziej, nie było owej hucznej myśliwskiej wesołości, którą on tysiącem kłamstw po-

ciesznieszych jedne nad drugie, umiał zawsze ożywić i utrzymać, a która jak wiadomo, jest najpowabniejszą zachętą i nagrodą myśliwskich trudów. — Z *masztalerzem*, handlarzem i lekarzem koni zawołanym, najlepszemu jego przyjacielowi nie życzyłbym wchodzić w stosunki, w którychby pokusa nabycia handlem lepszego konia opanować go mogła; bo natenczas nie oszczędził on zaręczzeń najsolenniejszych, a w ostatniej potrzebie przysiąg nawet potocznych, aby wmówić przekonanie o wybornych zaletach swojego konia, którego dla przyjaźni tylko i przysługi na zamian puszczał. Ale też w domu gdzie zajechał i przebywał, zastępował on najściślej i najochotniej w stajni oko pańskie, które wedle dawnego przysłowia tuczy koni; i jeżeli sam nie zaniedbał podpomódz sobie wszelkimi sposobami do oszukania, choćby swojego gospodarza, to już za to nikomu innemu oszukać go nie dozwolił. Był to przyjaciel, który w pojedynku z sobą sztuką czy zdradą zwyciężył, ale w pojedynkach z drugimi, obronił. — *Rybacy* nakoniec, do których właśnie i pan Jakób należał, prostsi i spokojniejsi od pierwszych, mniej też ze swego powołania miewali powszednich grzechów na sumieniu. Wytrząsł on niekiedy nie swoje więcierze; osławił wyborne tonie dla zacho-

wania ich sobie, a sieć cudzą obietnicą sowitego połowu na karcze i wiry wprowadził. Te i tym podobne małe usterki, których pan Jakób i jego współbracia niekiedy się dopuszczali, zapominały się im tem łatwiej, że gdy się dobrze w niewodzie powiodło, udzielali oni ryby wspaniale wszystkim, pracując tylko na chlubę i wdzięczność, której co piątek i sobotę, przy każdym smacznym z ryb półmisku, pewnymi byli. — Te główne działy *rezydentów*, dałyby się jeszcze na kilka poddziałków rozgałęzić: *ogrodników*, *lekarzy* od bólenia zębów, wysłużonych domowych pp. *dyrektorów*, a nawet *poetów*! Ale dość i tej krótkiej wzmianki i opisu, abyśmy przypomnieli sobie ludzi, żyjących bez troski, a przed którymi troski uciekały z domów; z pomiędzy których nie jeden z nas miał piastuna dni dziecinnych a mentora i najżyczliwszego domownika w młodzieńczym wieku; którzy nakoniec niknęli z pośród nas jak usychające jedne po drugich drzewa w ogrodach, którym ziemia pożywczych soków odmawia! — Takim był pan Jakób. Nim wiek młodszy i siły mu wystarczały, odbywał i on swobodne wędrówki, powodem jednak jakiejś z dziadulkiem moim *kollegacyi* zawsze na zimę, jak do głównego fundum, do jego domu przybywał. Lecz gdy szósty krzyżyk poczuł na barkach,

zaniechał wojażów, oddał starego swego konia kwestarzowi bernardyńskiemu i osiadł na zawsze przy moim dziadku, współsługą, współprzyjacielem, zawsze panem Jakóbem, gotowym na każde zawołanie pana skarbnika, czy to do rzeczywistej byle nie długiej w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawiania gości lub rozrywki gospodarza; czy to nakoniec do rozprowadzania w czasie długich jesiennych wieczorów rozmaitych historyi, zaczętych częstokroć w pokoju dla panów, a gdy ci nie dotrzymawszy do rozwiązania rzeczy, spać poszli, kończonych na folwarku dla czeladzi. — Wzajemnie pan skarbnik z pobłażaniem i uśmiechem patrzył, gdy podczas festów, a nawet i w niektóre niedziele, zdarzało się panu Jakóbowi niepewną nogą, w późny wieczór, wracać do domu, przyspiewując basem:

Oto to ja pan,
Oto to ja pan,
I o nie nie dbam...*)

Zbliżył się tedy do nas pan Jakób, w wybornym humorze, bo niósł w ręku drgającego wielkiego szczupaka.

— Mości dobrodzieju, krzyknął, misa na jutro!

*) Dawna piosnka.

— Na pozajutro! odpowiedział mój dziadunio.

— Imainacya! pozajutro prawda piątek; no to potrzęsimey znowu bucze, albo pojedę na zatoki: ale jutro pewni goście, więc zjemy *tego* za jegomościę zdrowie!

— Panie Jakóbie, rzekłem zapłakany, dziadunio mówi, że jutro umrze!

— Umrze? Imainacya! jegomość chwala Bogu zdrowszy; a zatem jutro razem z nami szczupaka konsumować będzie! Wstydź się jegomości, takie rzeczy gadać! — No! bądź co bądź! panie Jakóbie, rzekł mój dziadunio, ja proszę waszeci, abys mnie posłuchał, i wszystko tak przygotował, jakby śmierć moja jutro nastąpić miała! Żyliśmy razem lat kilkanaście i nie zapomniałem o twoim chlebie na starość; to się znajdzie w moim testamencie... Bóg powołał do chwały swojej przedemną wszystkich, którzy mi tu miłymi byli; tęsknię od dawna do połączenia się z nimi na wieki... Został mi tylko ten chłopiec, wnuk mój, krew moja! *os ex ossibus meis!* i ojciec jego a zięć mój! Poślij więc waszec po niego z oznajmieniem żem bardzo słaby, aby wraz przybywał... — Czy jegomościę doprawdy to mówisz? przerwał pan Jakób, ocierając rękawem łzę na twarzy.

— Cóż waszeci do tego! prosiłem, abys czynił jak mówię.

Pan Jakób upuścił szczupaka i słuchał, a łzy coraz bujniejsze padały mu z oczu.

— Jeszcze dzisiaj pofatygujesz się do plebanii, kończył mój dziadunio, i poprosisz księdza proboszcza, aby jutro przed nabożeństwem przybył tu dla wyspowiadania mnie i udysponowania ostatecznego, wedle świętej religii naszej, na drogę wieczności!!!! — Zamilkł tu staruszek, przymknął oczy jakby się modlił w duchu, a potem głośniejszym, z wyrazem głębokiego uczucia wymówił:

— *Ne memineris Domine delicta juventutis.*

— No! Panie Jakóbie, teraz dopomóż staremu, pójdźmy, mam interes do spichrza. — Pan Jakób podał rękę i prowadził powoli staruszkę, ja włokłem się z tyłu.

Zawołano ekonoma z kluczami, a gdy ten odemknął spichrz, rzekł doń dziadek: — Wleż wasć z łaski swojej na górę; znajdziesz tam trumnę, wysyp z niej żyto, a trumnę spuść ostrożnie na dół. Wlazł ekonom na górę, i po chwili odezwał się: — Jest trumna, panoczku, ale żyta, ani zboża żadnego w niej niema, pusta, panoczku! — Jakto być może! sam pamiętasz, że przed laty kilka, gdym ja zrobić kazał, nasypaliśmy do niej pełno żyta!

— Prawda, panoczku, pamiętam, ale pękło dno — odezwał się z góry ekonom — i wszystkie ziarno powoli wyciekło...

Pan Jakób, który wiedział, że pan skarbnik, idąc za upowszechnionym natenczas między pobożną szlachtą zwyczajem, miał gotową dla siebie, ale zawsze zbożem nasypaną trumnę, i który wierzył równie jak wszyscy zachowujący ten obyczaj, że trumna nasypana zbożem robi spór w spichrzu, a próżna jest wróżbą niezawodną śmierci gospodarza: usłyszawszy słowa ekonomy, zląkł się i rzekł zapomniawszy: — Ot co teraz, i ja powiem że prawda... Postrzegłszy się jednak, dodał skwapliwie: — Da to imainacya!!! — Ale mój dziadunio uśmiechając się smutno: — Aj! nie imaginacya, odpowiedział. Ziarno po ziarnie wyciekało z trumny, a razem wyciekał dzień za dniem życia mojego; i oto nakoniec dom wypróżniony, gotowy, czeka na przyjęcie mieszkańca.

W tem ekonom pchnął nagle z góry trumnę, której połowa raptem na wschodach się okazała...! — Jezus, Marya, Józef! krzyknął pan Jakób; ja przelekły wyskoczyłem aż na dziedziniec, wszystkie strachy, upiory, mary, których pełną miałem pamięć, stanęły mi razem przed oczyma; dziadunio mój nawet, nie mógł znieść spokojnie tego widoku! — Odprowadź mnie na ganek, panie Jakóbie, rzekł z wido-

cznem na twarzy umartwieniem, i pójdź do księdza, a gdy powrócisz, znowu pogadamy.

Siedział potem staruszek przez czas nijaki na ganku, odpoczywając i prowadząc wzrokiem po całej swej dziedzinie, po całej chudobie i gospodarce, roztoczonej przed nim, po rozległej dolinie, na którą tylekroć przez ciąg życia swego poglądał!!! Smutnemi być musiały myśli i pożegnania jego!!! bo po kilkakroć oczy zachodziły mu łzami, i po kilkakroć wznosił je do nieba, błagając zapewne pociechy i uspokojenia strapionemu sercu!!! Nakoniec postrzegł mnie siedzącego odeń z daleka: — Moje dziecię! rzekł zdziwiony, cóż to? czyż mnie żyjącego jeszcze już się lękasz? — Zgadł staruszek, bo w mojej wyobraźni nawykłej od dzieciństwa do dziwnych i przerażających o umarłych powieści i urojeń, trumna ze spichrza już stała na środku pokoju, dziadunio leżał w niej umarły, księża śpiewali, świece i lampy paliły się, wszystko było straszno, ponuro i czarno!!!!... Dziadunio mój zatem, siedzący na ganku, był upiorem, na którego trudno mi było spojrzeć śmiało, a tem trudniej doń się przybliżyć!!! Lecz wreszcie czułe moje doń przywiązanie przemogło, gdy spojrzałem na zasmucone oblicze starca, wyciągającego do mnie swe ręce; znikła trwoga, żal i miłość ogarnęły serce, i rzuciłem się w jego objęcie!

Dzień był na schyłku, słońce zniżając się ku zachodowi osiadło nad lasem kończącym widnokrąg i złoćło żywym blaskiem dwa krzyże wysoko w oddaleniu błyszczące: tkwiły one i tkwią jeszcze na wieżach wspaniałego kościoła buclawskiego, oddalonego na mil kilka od domku mojego dziadka, lecz w dniach pogodnych dającego się łatwo postrzegać. Widok ten ozdabiający okolice i miły zawsze oku dziadka mojego zajął go tem bardziej w usposobieniu, w jakim teraz siedział ze mną na ganku. — Czy widzisz, moje dziecko, rzekł on po krótkim milczeniu, jak się tam pięknie świecą dwa krzyże złote? — To *Buclaw*! odpowiedziałem. — Tak, *Buclaw*, moje dziecko! ale nigdy ci jeszcze nie opowiadał cudownego założenia tego kościoła i od czego to miejsce *Buclawiem* nazwano.*) — Nie, mój dziaduniu! nigdy! i kiedy dziaduniu łaskaw... Rozpogadzała się twarz staruszka, smutne przeczucia ustępowały widocznie nałogowej chęci jego rozpowiadania mi dziejów i pamiątek swoich: wróciła więc raz jeszcze, a to już raz ostatni, chwila miłej, spokojnej i prostej, jako całe życie dziadka mojego, rozmowy jego ze mną, której ja tylekroć słuchając, przywykałem sercem i pamięcią do

*) *Buclaw*, miasteczko w gubernii mińskiej, w powiecie wilejskim.

jego myśli i wyobrażeń, niepostępujących za biegiem czasu i rzeczy, lecz dogorywających powoli, pod niską strzechą, w domowym przybytku staroświeckich cnót naszych!... — Otóż moje dziecko, co do *Buclawia*, tak było, zaczął mój dziaduniu.

— Jednego z dawnych *regnantów* w tym kraju, Aleksandra Jagiellończyka*), prosili ojcowie Bernardyni wileńscy, których on podobno był i fundatorem, aby im wyznaczyć i darować raczył lasu na opał klasztorny. Ale że i w tamtych czasach musiały być częste procesa o dyferencye i granice, których biedni zakonnicy obawiali się, błagali więc oni króla, aby dla nich obrać kazał puszcę w takich pewnych granicach, o którychby nigdy żadnych wątpliwości nie można było wymyśleć ani uczynić. Trudna to rzecz była, moje dziecko, ale Bóg natchnął pobożnego króla, i wybrano podług prośby księży a woli jego, wlok lasu *praeter propter* ze dwieście, położonego między trzema rzeczками *Serweczem*, *Terekiem* i *Żują*. Wyspę taką oddał król na wieczne czasy ojcom Bernardynom wileńskim, aby siedząc w cieple chwalili Boga i modlili się za duszę swego benefaktora.

Dwadzieścia to i kilka mil od Wilna;

*) Historyczne.

ale Bernasie dali sobie radę, bo rzeczka Serwecz wpada do Wilii; a tak każdej wiosny, po wezbranej wodzie, spławiali oni sobie tyle drzewa do Wilna, że nie tylko na opał swego klasztoru, ale jeszcze i na pewny dochód wystarczało.

Że jednak tak wielki i pożyteczny obszar potrzebował pilności, a przez całą zimę trzeba było mieć pracowitych dozorców do wywożenia drzewa i do spławu, konwent przeto wileński posadził tam kilku braciszków, którzy na przebywanie swoje kilka także budek wśród puszczy sklecili, i zbudowali malutką kapliczkę, dla pomodlenia się codziennego i dla mszy świętej, którą przebywający na tej pustyni razem z nimi, a wysłany po kolejce z wileńskiego klasztoru kapłan codzien odprawiał.

Pewnego dnia zimą, moje dziecię, jeden z trzech braciszków, objeżdżając lasy, wracał pod wieczór do bud swoich i noc go zaskoczyła w lesie. Mróz i wiatr cisnął okrutny, noc ciemna choć oko wykol, wilki wyły straszliwie, biedny więc księżyna zwątpił o sobie i polecił się Bogu, drżąc cały od zimna i strachu... Nie wiedział on, czy jest blisko czy daleko jeszcze od domu, gdy znagła postrzegł wielką jasność, jakby ogień jaki przeświecający się przez drzewa. Uradowany

więc, zbliżał się skwapliwie w tę stronę, myśląc, że jeżeli nie na własne budy, z których nigdy się tak nie świeciło, to na insze jakie mieszkanie ludzkie natrafił: ale jakże się zdziwił, gdy wybiwszy się z gęstwiny wąziutką drożką, ujrzał się pod samą swoją kapliczką, a nad nią postrzegł w nadzwyczajnej jasności, jak w słońcu, wizerunek Matki Boskiej, taki właśnie jaki był w jednym ołtarzu w kościele wileńskim*). Uczyniwszy więc głęboką adorację cudownemu temu zjawieniu, pobiegł i pobudził konfratrów i kapłana. Zeszli się wszyscy, i wszyscy widocznie ujrzeli toż samo zjawienie; popadali więc na kolana i modlili się, aż jasność i obraz zniknął, a konkludując, że Bogarodzica przeznacza to miejsce na szczególniejszą chwałę swoją, oznajmili natychmiast o wszystkim do Wilna.

Objawienie to powtórzyło się kilkakrotnie, a tymczasem przybyła na miejsce zwierzchność zakonna, a po zaprzysiężeniu naocznych świadków sprowadzono z kościoła wileńskiego obraz, który się tak cudownie ukazał, a który i dziś w wielkim ołtarzu w Buławiu jaśnieje, i umieszczono go w ubogiej kapliczce.

Wnet się rozgłosiła sława miejsca tego,

*) Z miejscowego podania.

poczęły się zgromadzać tłumy pobożnych, a stąd wynikła potrzeba obszerniejszego domu Bożego i mieszkania przy nim kapłanów. — Wzięli się więc do dzieła ojcowie Bernardyni; oferty codzienne pospolitego ludu i dary pańskie tak ich hojnie wspomogły, że w krótkim czasie za pomocą Bożą zbudowali drewniany wprawdzie, ale przystojny kościółek i klasztor dla kilkunastu zakonników. A że najpierwej od *Bud* wszystko poszło, że podobało się Bogu ubożuchne to mieszkanie biednych sług swoich, cudem rozślawić, przeto wynikła i denominacya miejsca tego złożona z *Bud* i *Slawy*, *Bud-sława*, a *per abbreviationem* *Budslaw* i na koniec *Buclaw*.

Księża zamienili potem obszar swój leśny na kapitał, który, gdy się podwoił z nowych funduszów i legacyi, stanął przeto z czasem kościół *magnifice* wymurowany, i klasztor także, a tak pomnożyła się chwała Boża i pożytek ludzki; bo ze sto osób rozmaitej kondycji żywi się i utrzymuje przy klasztorze, to w szkółce, to w bursie, to w posłudze kościelnej, to na koniec w kapeli, która w każdą niedzielę i festa piękną *rezonancyą* dodaje wspaniałości *aparencyom* kościelnym. Obraz zaś słynąć nie przestaje codziennie prawie łaskami Matki Boskiej! — Opowiem ci jeszcze moje dziecię... W tem zjawił się pan Jakób wracający

z plebanii i przerwał z widocznem nieukontentowaniem swojego dziadka rozpocząć się mającą nową historję. Nie trudno było poznać, że pan Jakób w ciężkim smutku swoim nie folgował sobie w konsolacyi... — Będzie mości dobrodzieju ksiądz proboszcz jutro raniuteńko przed nabożeństwem; jest tam i ksiądz defnitor z Buclawia; kłania się jegomości dobrodziejowi! choć ze mną to inaczej było; nie bardzo grzeczne daliśmy sobie dobranoc! — A to dlaczego? zapytał mój dziaduniu. — Dlaczego? Oto ni proszony, ni dziękowany wyjechał on z deklaracyą, że zaraz zasiądzie pisać egzortę przy wyprowadzeniu ciała jegomości! Schowaj, księżu, powiedziałem, swoją ochotę i elokwencyę dla siebie! Pan skarbnik chce się spowiadać, to prawda, ale spowiedź nikogo jeszcze nie umorzyła, owszem często pomaga. Na dobitkę potem zaczął dowodzić, że jegomość powinien się kazać siebie pochować w habicie bernardyńskim, bo jesteś tercyarzem ich zakonu. — Imainacya odpowiedziałem. Pan skarbnik jest szlachcic z dziadów i pradziadów, więc będzie pochowany w mundurze i kwita. On swoje, ja swoje: pop przy kapturze, ja przy mundurze! Od słowa do słowa, przyszło do tego, że on mi powiedział: — „Idź wasan spać, boś pijany.“ A ja powiedziałem: kociół garnkowi przyganę

daje...trzasnąłem drzwiami, aż okna zadzwoniły, i wyszedłem. — Złe zrobiłeś, panie Jakóbie! rzekł mój dziadunio. Ksiądz definitor jest to pobożny kapłan, i dla mnie życzliwy. Cokolwiek on radził, to z dobrego serca. Wie on, że ja, jako chrześcijanin zaufany w miłosierdziu Boskiem, śmierci nie obawiam się, a co do ceremonii pogrzebowych, dawno już wszystko to rozporządziłem. Testament mój znajduje się u mojego kochanego sąsiada pana marszałka, i w jego też ręku ubogie moje za duszę ofiary, które wszystkie *in paratis* zostawuję...

— Ja poślę po doktora, ozwał się pan Jakób.

— A doktor mnie na co? jam zdrów, we mnie niema żadnej choroby... tylko... koniec życia, a na to... niema lekarstwa!

— Jegomość nie umrzesz, zawołał znowu pan Jakób, którego serce było teraz na ustach; jegomość nie umrzesz! mówił płacząc rzewnie, bo kiedy jegomość umrzesz, to i ja umrę; a nie, to pójde piechotą choć za morze do Jerozolimy, jak książę Sierotka, modlić się za duszę jegomościa! — Nie potrzeba tak dalekiej peregrynacyi, panie Jakóbie. Na każdym miejscu módl się i pamiętaj o mojej duszy.

— Jegomość będziesz w niebie! dalibóg

będiesz w niebie! jegomość taki pocziwy człowiek! a kiedy dusza potrzebować będzie pomocy, to jegomość mnie pokaż się: ja nie ulęknię się; albo przyśnij się mnie jegomość; to ostatnią kapotę przedam, a sprawię egzekwie! obaczysz jegomość!!!

Płakał pan Jakób, choć bredził; dziadunio jednak pojął przywiązanie jego do siebie, chociaż tak szczególnie i dziwnie na życie i śmierć objawiane. — No, dość tego, kochany panie Jakóbie, rzekł on, odprowadźcie mnie do łóżka, bo nogi moje drętwieją i jakiś dreszcz po ciele przechodzi... Układł się. — Wyszedłszy z panem Jakóbem, zapytałem go, o jakim to księciu Sierotce wspominał? — Ot imainacya! odpowiedział. Był jakiś pogański książę, o którym pisze, podobno w Tysiąc Nocy, który długo wędrował po całym świecie, i zaszedł aż do Jerozolimy a nazywał się *Sierotka*: pan skarbnik wie o tem od deski do deski, ale ja tego dobrze nie pamiętam. —

Wśród rozległej i otwartej okolicy, którą zielonym szpalerem przedziela wielka droga, wiodąca w głębsze krainy północnej Litwy, na wzgórzu panującym nad całym obszarem, wznosi się kościół murowany, ku któremu z różnych stron głębokimi koleinami poryte i kręto po polach wijące się podchodzą dróżki. Przy kościele drewniany stary klasztor,

niegdyś z dziesiątek Jezuitów, dziś na wpół zapadły, i ledwo dwóch księży pomieścić mogący, a w niejakiem oddaleniu dom pocztowy i kilka włościańskich chatek — zajmują główne tło obrazu, któremu nizkie strzechy domostwa mojego dziadka z boku w niewielkiej odległości rzucone, większej jeszcze prostoty i dobitniejszej wieśniaczej dodają barwy.

Odległa od miast głównych okolica ta nie ma ruchu, ani zmiennej co chwila rozmaitości, właściwej ludniejszemu podmiastowemu krajobrazom. Spokojna i łagodna jednostajność, kołysana na falach pięknego zboża, okrywającego szerokie pola, lub zaległa na szarych zagonach pooranych błoni, rzadko tu czemkolwiek przerwana bywa!!! — Kiedy niekiedy pokaże się zdaleka na gościńcu długi ciąg powózek ruskich i przewlecze się leniwo od końca do końca przez całą przestrzeń widnokregu: niekiedy także błysnie pomiędzy brzoziami broń przechodzącej drogą rotę żołnierzy; a kilka razy na tydzień zamgli się na gościńcu w pyle trójka pocztowa, roznosząc w powietrzu echa wesołej trąbki, lub przeraźliwego dzwonka, i dając powód księdzu plebanowi i jego komendarzowi do odwiedzenia wnet pisarza pocztowego lub zaproszenia go do plebanii, dla rozwiązania trzech ważnych kwestyi: kto jechał? gdzie jechał? i co z tego będzie?

Cóż dopiero, gdy pisarz dodać może jeszcze, co on mówił! Ileż natenczas wniosków, sprzeczek i domysłów dyplomatycznych z nowiny tej się wyleże! — Lecz w każdą niedzielę lub uroczystość kościelną cicha ta okolica ożywia się i zaludnia. Wyprostowany od ziemi i otarłszy z czoła znój całotygodniowy, lud pospolity wszelkimi drózkami i wielkim szlakiem napływa do kościoła; skrzypią ponerały i kałamaszki, a wtórują im najczęściej skrzypki muzykantów, prowadzących do ślubu huczne weselne korowody. Poszykowane potem na placu kościelnym w osobne obozy, tłumy różnowzore i rozmaite, pieszych i konnych, przybywając mieszczą się i czepią około płotów, oczekując w gwarze i natłoku rozpoczęcia nabożeństwa. Nakoniec dążą bryczki i torują drogę dla pięknych koczów, przybywających najpóźniej, i jak kosze kwiatami, płcią piękną napełnionych.

Trzydzieści lat dziś się dopełnia, i powraca po raz trzydziesty dzień ósmy czerwca, gdy tenże sam obraz, i tejże samej okolicy, ożywionej jako i dziś uroczystością *Bożego Ciała*, przedstawiał się memu zasmuconemu oku! Uprzedzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek leżał teraz słaby na łóżku. — Przepędził on noc bezsenność; z rana zaś dopełniwszy z najtkliwszą pokorą i skrucą wszystkich religijnych przedzgonnych obrzę-

dów — w cichem zebraniu ducha oczekiwać zdawał się ostatniej chwili.

Sprawiedliwie tylekroć porównano życie ludzkie przy schyłku do dogorywającego płomienia! Nagły wichur zmuchnie go często przy samem zatleniu się; gwałtowna ulewa zagasi go nieraz, gdy jeszcze jasno się pali... i to jest życie przerwane na początku, lub w połowicy! Lecz naturalnym biegiem zbliżające się życie do końca tem podobniejsze jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę, i z niej jeszcze jasnym, choć na krótko, błyskającego ogniem! Tak dusza ostatnich sił zwątlonego ciała użyje na przedłużenie życia, ostatnią kroplę zastygającej krwi zmusi do biegu; z ostatniej cząstki piersi wysili odetchnienie i zaświeci jeszcze w oczach, w mowie i w jasnym pojęciu, a gdy zda się potem, że już jej niema, znowu się objawia na nowo... i na nowo nika! — Mniemaćby można, że starość ma uzbierane zapasy życia i najtajemniej w rozmaitych kryjówkach, jak skarby u skapca ukryte, które na ostatnią chowa potrzebę, i które wydaje powoli i najoszczędniej, otwierając po jednej, aż póki najtajemniejszą wyczerpie... natenczas koniec!

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się, że nie mniemał się tak blizkim zgonu, jakeśmy sądzili. Tymczasem od kilku już godzin trwało

nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć jak zwyczajnie w to święto wielką procesją do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy. — Uderzenie we dzwony dało znak wyjścia procesji z kościoła i obudziło staruszka. — Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? zapytał on mnie; corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrującego w procesji do stacyi przy własnym krzyżu przybranej, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany, odpowiedziałem. — No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomóżcie!...

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczora, wywłókł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podanem sobie szerokim krześle, i czekał z wypogodzonym zupełnie obliczem procesji. — Wkrótce też, ogromnym chórem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierwej nuta a potem pieśń:

„Niebo! ziemia! świat i morze!
I co tylko w was być może!
Jak najgłębiej upadajcie,
Pokłon Panu z nami dajcie.“

Wzruszył się mój dziadunio z miejsca chcąc upaść na kolana. Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomoc musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się najprzód z daleka krzyż wielki,

posuwający się powoli, a niesiony przez pana Jakóba, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie; zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kapłanów, bractwa i dziatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; postępował w środku ksiądz pleban pod baldachimem, niosąc w ręku wzniesione nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogate *Monstrancjum*, okryte wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych w dniu tym zwykle poświęcanych... Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych procesyi? lecz komuż miłem nie będzie, jako i mnie piszacemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza; tryumfalnym tonem i słowami umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

„Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!
Idzie, Sędzia sprawiedliwy,
Stanąwszy pięknem kołem,
Uderzmy wszyscy czołem.“

— O mój Boże! zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się procesyi — o mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie!... ja przed sąd Twój stanę natychmiast! o mój Boże! zmiłuj się nademną!!!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krzesło. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątlone; mowę mu odjęło; łzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły, że przytomny zupełnie, nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu ewangelii ruszyła nazad procesya, i zabrzmiały znowu słowa:

„Idzie! idzie! światłość wieczna!
Idzie! idzie! moc przedwieczna!
Stanąwszy pięknem kołem
Uderzmy wszyscy czołem.“

O! nigdy nie zapomnę twarzy natenczas mojego dziadka! na mojej młodej wyobraźni został jej obraz na zawsze! cała reszta życia zebrała się mu na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu i pragnieniem połączenia się ze *światłością wieczną*, która oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą!!! Podniósł on znowu ręce za procesyą, i na koniec odpadł na krzesło... Odnieśliśmy zemdlonego na łóżko, bez nadziei aby raz jeszcze wrócił do życia. — Tymczasem, najrychlej jak mogł, po nabożeństwie przybył ksiądz pleban; starzec mało młodszy od mojego dziadka, kilkadziesiątletni jego przyjaciel, codzienny współnik życia, zabaw i towarzystwa, a jako stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów. Za nim ksiądz definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów. — Pan Jakób pierwszej

przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny, i zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Księża obścapiłi łóżko, i gdy jeszcze jakiekolwiek ślady życia dawały się postrzegać, rozpoczęli modlitwy nad konającym zwykle odmawiane; ja nakoniec drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy niemi...

Wtem odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszymi; otworzył oczy, powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających... wziął potem za rękę księdza plebana, i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił: Dziękuję tobie, mój ojcie, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie... — Błagałem Boga przy ołtarzu, rzekł proboszcz, o zdrowie dla ciebie, panie skarbniku, i prosiłem wszystkich parafian, aby także modlili się za twoje zdrowie... — Ach, mój ojcie! niechby się wolej modlili za moją duszę!... poślijcie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać... — Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu, i w sieniach czekali niespokojnie, co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi i napełnili izbę włościanie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio, i mówił jak mógł najdobitniej: — Moje dziatki! umieram ja i żegnam was i błogosławię...

i was i dzieci wasze... i chudoby... i chatki wasze!!! dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie! i za pracę waszą! i za chleb!... — Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie siły... — Darujcie mnie, jeżeli kimś z was mimowolnie ukrzywdziłem — darujcie dla miłości Boga!!! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na sąd straszny zapożyczam!!! — Te ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł.

Włościanie żalem przejęci, nie wiedzieli sami co czynić. Jedni łzami zalani poklekali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którem umierający był nakryty; drudzy nachyliwszy głowy ku ziemi, klęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków; jest to u nich znak głębokiego uszanowania i adoracyi! inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakóbie i odmawiali z nim litanie.

Nakoniec mój dziadunio skinął, abym się zbliżył i ukląkł! wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole... powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nademną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzami zaszły... i ręka z głowy mej spadła... raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił, i do ust go

swoich przyłożył, lecz przywrzeć ust i ucałować już nie mógł; tak więc z krzyżem na ustach zostawał...

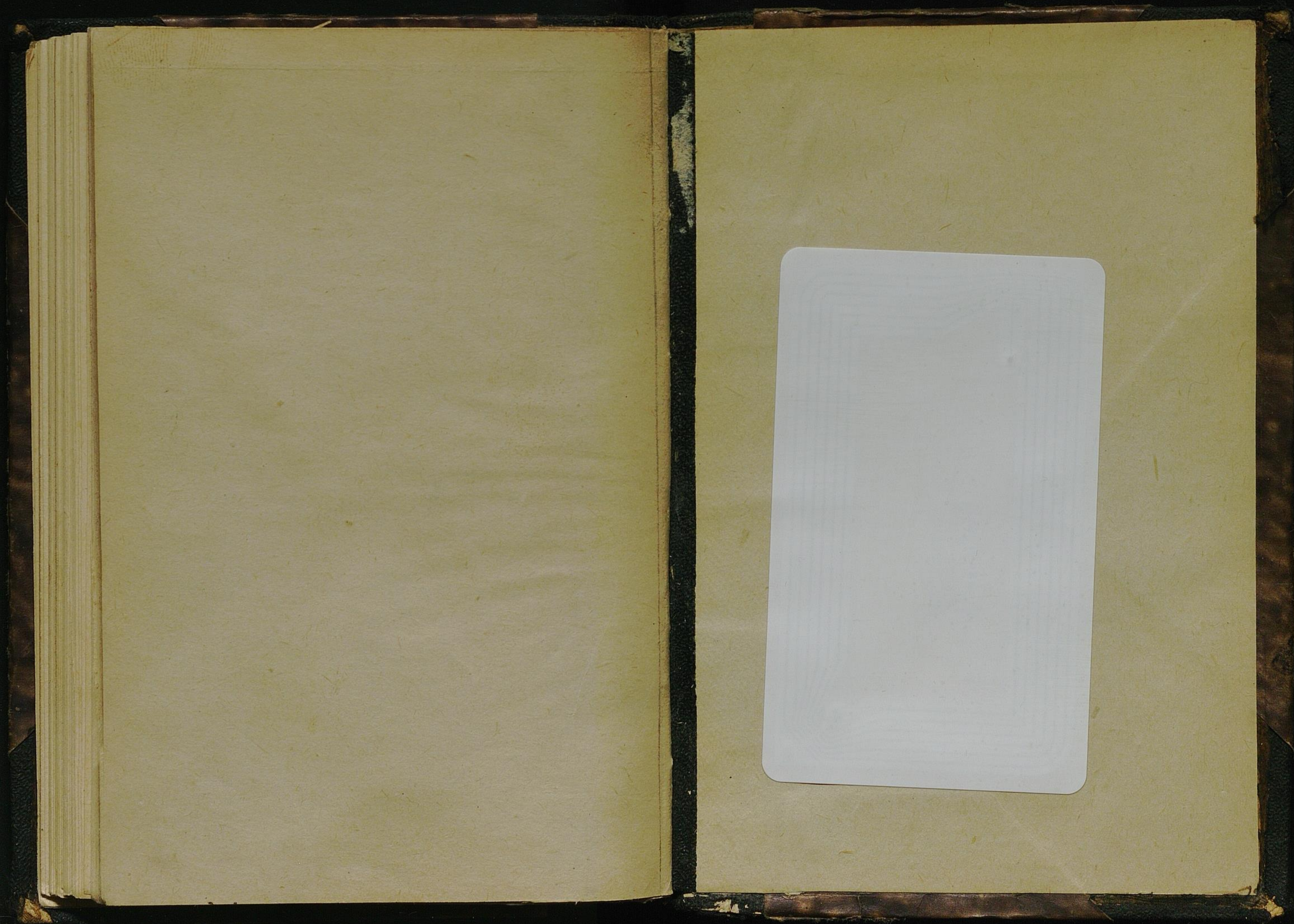
Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ksiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i własnymi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem: — Polecaj się Bogu, chrześcijaninie! a stojący obok ksiądz definitor dodał ponuro: — Wychodź, duszo chrześcijańska!!! — Zadrżałem na te wywołujące słowa!!! Ścisnienie ręki proboszcza i gromnicy dało poznać, że jeszcze żył konający!... głębokie potem milczenie opanowało izbę, lzy ciekły po twarzach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał... Anioł śmierci już był pomiędzy nami!!! Wtem ksiądz pleban uchylił się nad konającym. Po chwili podjawszy głowę, wznosił oczy ku niebu... i zdmuchnął gromnicę!!!

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przeczucia mojego dziadka! — Oto kamień mchem porosły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa: „Żył pocziwie! wierzył po prostu! umarł spokojnie!“

SPIS RZECZY:

Domek mojego dziadka	Strona. 3
Boruny	26
Śmierć mojego dziadka	79





371A

